

Carlo Maria Martini
Kardynał Arcybiskup Mediolanu

**KOBIETA
POŚRÓD SWEGO LUDU**



Wydawnictwo WAM
Kraków 1993

Przedmowa do wydania włoskiego

Książka ta zawiera medytacje kardynała arcybiskupa Mediolanu, Carla Marii Martiniego, wygłoszone w trakcie rekolekcji do 240 sióstr zakonnych z jego diecezji. Aby wyjść naprzeciw oczekiwaniom 11 tysięcy zakonnicy, jakie liczy ta diecezja, dano wszystkim możliwość – dzięki połączeniom radiowym – słuchania i uczestniczenia w tych medytacjach.

Słowa Arcybiskupa były nadzwyczaj bogate i głębokie. Jak zawsze jednak, pismo nie jest w stanie oddać odzewu, który wzbudza żywy głos dzięki tonacji, podkreśleniom, wzruszeniu czy udzielającej się bezpośrednio żarliwości. Uprzedzamy o tym każdego czytelnika.

Być może, stosownie byłoby przystąpić do czytania tej książki w klimacie modlitwy, ponieważ charakterystycznym rysem rekolekcji jest fakt, iż ten, kto ich udziela, proponuje pewną pracę, pewną osobistą i duchową aktywność polegającą na zastanowieniu się i otwarciu na kontemplację.

Tytuł: *Kobieta wśród swego ludu* może stanowić pułapkę sugerując, że chodzi po prostu o książkę na temat kobiecy. W pewnym sensie tak jest w istocie, lecz nie jest to jeszcze jedna pozycja w rzece wielu tomów napisanych w ostatnich dziesięcioleciach na temat problemu kobiety we współczesnym świecie. „»Planeta–kobieta« – pisze Arcybiskup – (a my dorzucamy także »planeta–mężczyzna«) jest pełna tajemnic i niełatwo jest ją przeniknąć”. Tylko Bóg, który rzekł: „Uczyńmy człowieka na nasz obraz i podobieństwo... i stworzył ich jako mężczyznę i kobietę”, byłby w stanie wyjaśnić tajemniczą

głębie własnego stworzenia. Bóg jednakże przemówił poprzez Pismo święte.

Kardynał Martini w swoich medytacjach nie czyni niczego poza przypatrywaniem się (a mogłoby się to wydawać bardzo proste!), w świetle obrazów ewangelicznych, niektórym postaciom kobiecym, rozumianym jako tło lub przeciwieństwo Maryi. Maryi, której „kobiecość jest znakiem czegoś nieskończenie Innego”, ponieważ jest „początkiem nowej ludzkości, w której Bóg stał się ciałem”. Maryi, która u stóp krzyża, gdzie jej macierzyństwo osiąga wymiar powszechny, powtarza swoje „tak” ze Zwiastowania. Maryi, która rozjaśnia historię całej ludzkości.

Arcybiskup Martini powiada, że ogranicza się do podania krótkich punktów i wskazania dróg do osobistej refleksji, do podzielenia się niektórymi intuicjami, które budzą w nim pewne fragmenty Ewangelii na temat rzeczywistości kobiecej, a kończy się to, niepostrzeżenie, takimi stwierdzeniami na temat kobiety, jakich, być może, nikt jeszcze do dziś nie wypowiedział. Biskup mówi to właśnie dzięki nadśluchiwanu Boga, który przemawia poprzez Pismo święte.

I jeszcze jedna uwaga. Książka ta jest użyteczna dla każdego chrześcijanina, każdej kobiety i każdego mężczyzny, do poszukiwania Boga Objawienia, także i dzięki temu, iż stanowi ona rodzaj prostego i zarazem jakże głębokiego skrótowego ujęcia katolickiej teologii egzystencjalnej.

Geograficzna mapa rekolekcji dołączona do książki przedstawia graficznie ich przebieg. Przekładając go na słowa, możemy to wyrazić w następujący sposób: jest to historyczna droga ewangelicznego człowieka ku ostatecznemu upodobnieniu się do Chrystusa, w Duchu Świętym, na chwałę Boga Ojca. Droga rozjaśniona postacią i życiem Maryi.

Nie jest łatwo w kilku refleksjach kontemplacyjnych wyłożyć to, co tworzy życie wewnętrzne oraz życie praktyczne, codzienne chrześcijanina. Dlatego teologia zawiera różne dyscypliny, które należy następnie zestawiać i wyjaśniać celem

uniknięcia niebezpiecznych rozdźwięków między wiarą i codziennym życiem. Często problemem człowieka wierzącego jest dokonanie przejścia od wiary chrzcielnej do wiary osoby dorosłej, przesylenie wiarą życia rodzinnego, społecznego, obywatelskiego i politycznego. Zdarza się nawet, że ktoś, kto angażuje się w przeżywanie wiary jako osobistego spotkania z Jezusem Chrystusem, napotyka wielką trudność w tworzeniu, dzięki własnej wierze, autentycznych form historii.

Arcybiskup Martini w sugestywny i oryginalny sposób umiejscawia wiarę w konkretności codziennych rzeczy, odnosząc wszystkie przeżywane przez nas rzeczywistości do tej jedynej Rzeczywistości, od której wszystko pochodzi i do której wszystko powraca¹.

¹ Rekolekcje te zostały wygłoszone do sióstr zakonnych z diecezji mediolańskiej, w Motta di Campodolcino, w sierpniu 1984 roku. Tekst, przepisany z taśmy magnetofonowej, nie był przejrany przez Autora.

WSTĘP

Zdarza mi się po raz pierwszy głosić rekolekcje tak licznej grupie sióstr, które, co więcej, nie należą do jednej wspólnoty, lecz są przedstawicielkami wszystkich zgromadzeń żeńskich obecnych w diecezji. Dostrzegam w Was obraz i powołanie kobiety w dzisiejszym społeczeństwie: wiele milionów osób przybierających tak różne postawy religijne, ludzkie i społeczne.

Przynosicie w modlitwie, przed Boga, całą ludzkość, przepowiedzianą i skonkretyzowaną w tej jedynej Kobiecie – Maryi. To Ona bowiem jest początkiem nowej ludzkości, w której Bóg stał się ciałem.

Wezwanie

Nie kryję, że odczuwam lęk i wielką odpowiedzialność, a jednak podjąłem się prowadzenia tych rekolekcji z jednego, bardzo precyzyjnego powodu.

Motyw ten rodzi się z przekonania, że kryzys roli kobiety w społeczeństwie stanowi kluczowy punkt wielu innych problemów społecznych, ludzkich i religijnych naszych czasów. Dlatego zdecydowałem się wystąpić z wezwaniem: *ratujmy społeczeństwo!* Jest to wezwanie, które będziemy rozumieli coraz lepiej, w miarę jak będzie się ono wynurzać z medytacji, które przeprowadzimy i które będą dotyczyć Was, Waszego sposobu życia, Waszego wyboru powołania, w głębokim sensie tego słowa, jako znaku jednakże pewnego sposobu życia i poszuki-

wania wiary, które powinny stanowić wartość dla całego społeczeństwa.

Kieruję to wezwanie do Was, ponieważ uważam, że kobiety poświęcone Bogu są cennym zadatkiem na rzecz ocalenia misji kobiety w świecie.

Te rekolekcje są zatem opatrnościową okazją dla sióstr zakonnych: pomogą Wam odczuć i przeżyć Waszą rolę w autentyczny sposób oraz wziąć na siebie poważną odpowiedzialność, zwłaszcza za kobiety naszych czasów. Nie chodzi, oczywiście, o zdobycie określonych wiadomości czy specjalizacji, o nadęcie się jak ropucha z bajki, aby pretendować do Bóg wie jakich zadań. Chodzi natomiast o uchwycenie głębokiej subtelności Waszego powołania jako kobiety, i to poświęconej Bogu, ponieważ poprzez to powołanie jesteście znakiem pozwalającym spojrzeć w prawdzie na powołanie kobiety w dzisiejszym świecie. I jest to punkt trudny do uchwycenia; zbyt często bowiem sądzymy, że rozwiązanie różnych problemów powinny nam przynieść wojska niebieskie albo powinno je spowodować odwołanie się do tajemniczych technik. W rzeczywistości jednak wszystko zostało nam już dane i przeżycie tego daru jest zbawieniem, które przejawia się w prawdziwym istnieniu, prawdziwie wyrażonym jako takie. Tylko tym sposobem Wasze powołanie może rozjaśnić inne powołania, pomagając im uchwycić to, co istotne.

Stawka jest więc bardzo wielka: chodzi o odpowiedź na powołanie. Lecz samo uświadomienie sobie naszego ubóstwa i słabości, naszego lenistwa wobec powołania jest już sposobem na autentyczność.

Nie chciałbym, aby motyw, dla którego głoszę te rekolekcje, był przez Was odebrany czysto pojęciowo czy mechanicznie: wysłuchać, co mówię, nauczyć się tego i nadać temu rozgłos. Nie taki jest mój zamiar, także dlatego, iż uznaję, że nie jestem zdolny samodzielnie zgłębić zjawiska, które określono mianem „planeta-kobieta”.

Dostarczę Wam więc wskazówek i zachęt, przekażę Wam moje intuicje, a Wy będziecie musiały zanurzyć się w Słowie Bożym, w modlitwie i w kontemplacji, aby móc wkroczyć na tę tajemniczą planetę i stać się jej odkrywczyniami i przewodniczkami po niej.

Pierwszą wielką Odkrywczynią i Przewodniczką po tajemnicy kobiecości jest oczywiście Maryja: uczy nas Ona, że najważniejszą rzeczą jest być i żyć, nie zaś mówić czy powtarzać słowa. I to jest także Wasza podstawowa misja: bądźcie sobą podkreślając w ten sposób pierwszeństwo bycia przed czynieniem czegokolwiek i pierwszeństwo Słowa Bożego przed słowem ludzkim.

Tytuł rekolekcji

Chciałbym rozważyć w tych dniach jedną jedyną scenę z Ewangelii: *Maryja u stóp krzyża*. Mając przed oczami ten obraz, rozważać będziemy stopniowo inne sceny ewangeliczne, które pozwolą nam uchwycić, bądź jako tło, bądź jako przeciwieństwo, niektóre z odbić, odzwierciedleń tej jedynej wielkiej sceny.

Tytuł rekolekcji brzmi: *Kobieta pośród swego ludu*. Kobieta jest przede wszystkim Maryja jako symbol każdej kobiety, która chce w pełni urzeczywistnić siebie samą, lecz nie samotnie, a pośród swego ludu. Możemy opatrzyć je podtytułem: *Droga Maryi z mężczyznami i kobietami wszystkich czasów*, kontemplując tym samym Maryję z chęcią zobaczenia, jak postępowała Ona i jak my chcemy postępować wspólnie z Nią.

W dniu 15 sierpnia, w uroczystość Wniebowzięcia, udałem się do więzienia Św. Wiktora. Program tych odwiedzin nie przewidywał spotkania z żeńską częścią więzienia. Jedna z sióstr wręczyła mi książeczkę, jaką więźniarki ułożyły dla mnie: zawiera ona wyjątki z listów, rysunki, fotografie. Zaczyna się następującym zdaniem: „Zdarzają się dni, rocznice

i święta, które – przeżywane wewnątrz murów, daleko od bliskich i dzieci – stają się dniami jeszcze smutniejszymi niż zwykle, lecz jakże głębszymi w przemyślenia, pełniejszymi uczuć i mocnych postanowień odnalezienia dialogu ze społecznością na zewnątrz, aby można było wybić w murach więcej bram do ludzi, które prowadziłyby do społeczeństwa, do rodziny, do dzieci i do nadziei. Tak więc to święto Maryi, Matki Chrystusa, włącza nas w nurt refleksji nad tym, jak być kobietami i matkami”.

Wydaje mi się bardzo piękną idea, że myśląc o Maryi myślimy, kim jesteśmy my sami, że myślicie o Waszej drodze kobiet ochrzczonych, poświęconych Bogu przez śluby, kobiet, które przeżywają powołanie odnoszące się do całej ludzkości.

To prawda, że jesteśmy słabymi mężczyznami i słabymi kobietami, i już jest dużo, jeśli udaje nam się dobrze przeżyć jeden dzień, starając się poprawić w tym, co robimy. Bóg jednak złożył w Sercu Maryi tajemnicę całego świata i kiedy wchodzimy w Serce Maryi, wchodzimy w rzeczywistość świata, przyjmujemy jego wymiary, uczestniczymy w cierpieniach wszystkich kobiet na świecie, nawet jeśli jesteśmy pełni lęku, ułomności, słabości i wad.

Jan Paweł II w adhortacji apostołskiej *Redemptionis donum*, skierowanej do zakonników i zakonnic w dniu 25 marca 1984 roku, pisze: „Skoro cały Kościół odnajduje w Maryi swój pierwowzór, o ileż bardziej Wy, osoby i wspólnoty poświęcone Bogu w Kościele... Zwracam się do Was, aby wezwać Was do ożywienia waszej zakonnej konsekracji według wzoru konsekracji samej Bożej Rodzicielki...

Trwając w wierności Temu, który jest wierny, starajcie się szukać specjalnego wsparcia w Maryi. Ona bowiem została wezwana przez Boga do najdoskonalszej jedności z Jego Synem. Niech Ona, Panna wierna, stanie się także Matką Waszego życia Ewangelią. Niech Wam pomoże doświadczyć i zaświadczyć wobec świata, jak nieskończenie wierny jest Bóg” (RD n. 17).

Prośmy więc Maryję o otwarciu naszych serc na pełny wymiar naszego powołania, na znaczenie kosmiczne, powszechne i ludzkie, w którym mieści się doświadczenie zakonne, o otwarciu serca na przyjęcie wszystkich głosów ludzkości.

Wskazówka praktyczna

Ilość medytacji, które Wam zaproponuję w tych dniach, została ustalona z myślą o swego rodzaju odprężeniu kontemplacyjnym. Jest więc konieczna pewna większa aktywność osobista w chwilach wolnych i ważne jest, aby była ona zaprogramowana. Wskazuję zasadniczo na trzy momenty: modlitwę myślną, modlitwę ustną i czytanie duchowne.

Ważną rzeczą jest nie zmieniać już raz ustalonego przez Was programu, chyba że dla ważnych i rozsądnych powodów.

– Materię do *modlitwy myślnej* powinno stanowić to, co zostało wyłożone w medytacjach: należy powrócić do tego w trakcie osobistej kontemplacji, która powinna nas wprowadzić w bezpośredni kontakt z Bogiem. Podstawowym owocem rekolekcji jest bowiem spotkanie z łaską Ducha Świętego, która rodzi się z kontemplacji tajemnic Jezusa.

– Do *modlitwy ustnej*, poza liturgią mszalną, możecie użyć *Brewiarza*, odmawiając *Jutrznę* i *Nieszpory*, a następnie odprawiając *Drogę Krzyżową* i odmawiając *Różaniec*.

– Na *czytanie duchowne* możecie wziąć dwa pierwsze rozdziały Ewangelii według św. Łukasza oraz rozdziały 19 i 20 z Ewangelii według św. Jana. Fragmenty te w pewien sposób nakładają się na siebie i ich wspólnym mianownikiem jest tematyka maryjna. Zalecam Wam także czytanie *adhortacji Redemptionis donum*; encykliki Pawła VI *Marialis cultus* oraz VIII rozdziału *Konstytucji dogmatycznej Soboru Watykańskiego II Lumen gentium*. Użyteczne mogą być także biografie i autobiografie Świętych i, oczywiście, ponowna lektura *Reguły Konstytucji Waszych Zgromadzeń*.

Ważne jest nie tyle dużo czytać, ile mieć w ogóle jakiś program, ponieważ życie pustelnicze, jakie przyjdzie Wam prowadzić w tych dniach, jest trudne i wymaga surowej dyscypliny wewnętrznej.

Kończymy nasz wstęp lekturą fragmentu Ewangelii, który, jak powiedziałem, pozostanie podstawowym punktem odniesienia dla każdej naszej medytacji: „A obok krzyża Jezusowego stały: Matka Jego i siostra Matki Jego, Maria, żona Kleofasa, i Maria Magdalena. Kiedy więc Jezus ujrzał Matkę i stojącego obok Niej ucznia, którego miłował, rzekł do Matki: »Niewiasto, oto syn Twój«. Następnie rzekł do ucznia: »Oto Matka twoja«. I od tej godziny uczeń wziął Ją do siebie” (J 19, 25–27).

Panie Jezu, chcemy stać blisko Twego krzyża, złączeni z Twoją Matką. Udziel nam łaski kontemplacji, abyśmy mogli przeżyć te dni, kontemplując znaczenie tego wydarzenia i wszystkich wydarzeń, jakie są w nim zawarte.

Maryjo, Matko Jezusa, która rozumiałaś wymiar Twojego powszechnego powołania, wyjednaj i nam zrozumienie wymiaru i ogromu powołania każdej i każdego z nas.

Prosimy Cię o to, o Panie, przez Twojego Ukrzyżowanego Syna w jedności z Maryją. Amen.

TRZY JĘKI

Kobieta kananejska – Mt 15, 21–28

Pragniemy rozpocząć naszą medytację starając się wyjaśnić, co znaczy poznać bogactwo powołania. Spieszmy nam z pomocą św. Paweł Apostoł we fragmencie z Listu do Rzymian:

„Sądzę bowiem, że cierpienie teraźniejszych nie można stawiać na równi z chwałą, która ma się w nas objawić. Bo stworzenie z upragnieniem oczekuje objawienia się synów Bożych. Stworzenie bowiem zostało poddane marność – nie z własnej chęci, ale ze względu na Tego, który je poddał – w nadziei, że również i ono zostanie wyzwolone z niewoli zepsucia, by uczestniczyć w wolności i chwale dzieci Bożych. Wiemy przecież, że całe stworzenie aż dotąd jęczy i wzdycha w bólach rodzenia. Lecz nie tylko ono, ale i my sami, którzy już posiadamy pierwsze dary Ducha, i my również całą istotą swoją wzdychamy, oczekując (przybrania za synów) – odkupienia naszego ciała. W nadziei bowiem już jesteśmy zbawieni. Nadzieja zaś, której (spełnienie już się) ogląda, nie jest nadzieją, bo jak można się jeszcze spodziewać tego, co się już ogląda? Jeżeli jednak, nie oglądając, spodziewamy się czegoś, to z wytrwałością tego oczekujemy.

Podobnie także Duch przychodzi z pomocą naszej słabości. Gdy bowiem nie umiemy się modlić tak, jak trzeba, sam Duch przyczynia się za nami w błaganiach, których nie można wyrazić słowami. Ten zaś, który przenika serca, zna zamiar Ducha, (wie), że przyczynia się za świętymi zgodnie z wolą Bożą” (Rz 8, 18–27).

W tym przepięknym tekście Apostoł wyklada nam naukę, którą moglibyśmy określić mianem nauki o trzech jękach. Czym jest jęk? Jest to zduszony krzyk, coś, co łączy się z pewnym typem cierpienia. Wewnątrz chce się krzyczeć, lecz dech zostaje zablokowany i na zewnątrz wydostaje się tylko część krzyku.

Jęk ma następującą charakterystykę: jest to krzyk, gwałtowny w swej przyczynie, lecz umiarkowany w zewnętrznym przejawie.

Pismo św. mówi o jękach. Występują one zwłaszcza w dwóch ważnych okolicznościach. Pierwszą z nich jest jęk Jezusa, zgodnie z przekazem Ewangelisty: „Przyprowadzili Mu głuchoniemego i prosili Go, ażeby położył na niego rękę. On wziął go na bok, osobno od tłumu, włożył palce w jego uszy i śliną dotknął mu języka; a spojrzawszy w niebo, *westchnął* i rzekł do niego: »Effatha«, to znaczy: Otwórz się!” (Mk 7, 32–34).

W tekście greckim jest słowo *sustenazei* – „jęknał”. Jezus więc, dokonując tego cudu, przeżył chwilę wielkiego napięcia duchowego. Myślał o ludzkości, niezdolnej do wypowiedzenia się, o człowieku, który czuł potrzebę kontaktu z innymi, i włożył w uzdrowienie głuchoniemego całą swoją wolę zbawienia go, a zarazem cierpienie człowieka, który nie potrafi nawiązać kontaktu. Jęk Jezusa jest bolesnym współudziałem w ludzkim cierpieniu.

Drugą interesującą okoliczność znajdujemy w Dziejach Apostolskich (7, 34), gdzie nawiązuje się bezpośrednio do słów z Księgi Wyjścia: „Długo patrzyłem na ucisk ludu mego w Egipcie i wysłuchałem jego jęków, i zstąpiłem, aby ich wyzwolić”. Zwykle w Księdze Wyjścia to zdanie jest tłumaczone następująco: „Dosyć napatrzyłem się na udrękę ludu mego w Egipcie i nasłuchałem się jego narzekań na ciemieców” (Wj 3, 7). Grecki tekst autora Dziejów Apostolskich zawiera natomiast określenie: *jęków*. Jęk bowiem jest gorącym pragnieniem wolności, która jednak nie może wyrazić się w

warunkach niewoli, w jakich żyje naród, a zatem gwałtowność uczuć przywdziewa zewnętrzną szatę wstrzemięźliwości i delikatności.

O jakich zatem jękach pisze św. Paweł w Liście do Rzymian?

Jęk stworzenia

Pierwszym jest jęk całego stworzenia:

„Stworzenie z upragnieniem oczekuje objawienia się synów Bożych. Stworzenie bowiem zostało poddane marności – nie z własnej chęci, ale ze względu na Tego, który je poddał – w nadziei, że również i ono zostanie wyzwolone z niewoli zepsucia, by uczestniczyć w wolności i chwale dzieci Bożych. Wiemy przecież, że całe stworzenie aż dotąd jęczy i wzdycha w bólach rodzenia” (Rz 8, 19–22).

Jest to wielki obraz, służący do opisu dynamizmu ludzkiej historii: cała ona jest jednym jękiem, jak jeden wielki ból rodzenia.

W tekście greckim znajduje się słowo „współ-jęczy”, *sustenazei*: cały świat współjęczy, jest to jeden wielki ból. Ludzkość, historia, stworzenie tęsknią do czegoś innego i ogromnie tego pragną, niezwykle gorąco oczekują. Ten krzyk wolności, który jest w sercu świata, nie potrafi jednak jasno się wyrazić i, jakkolwiek jest bardzo głęboki, pozostaje tylko jękiem.

Zauważmy piękno tego wyrażenia: „Całe stworzenie aż dotąd jęczy i wzdycha w bólach rodzenia”. Znaczy to, że znajduje się ono w momencie, w którym życie zaczyna się przejawiać poprzez ból i cierpienie. Wszyscy wiemy, że obraz bólów rodzenia, które przygotowują nowe życie, potrafi także wyrazić osobę w jej najgłębszych cierpieniach, nadając im sens.

Obecna ludzkość jest podobna do ludu Izraela w czasie, gdy pozostawał on w niewoli faraona Egiptu. Jesteśmy niewolnika-

mi braku sensu, pustego życia i głupoty. Niewolnikani są ci, którzy pytają, do czego może być potrzebne życie, jaki sens mają pragnienia i trudy. Niewolnikami są ludzie, którzy żyją w beztrosce, bez celu, albo którzy gwałtownie przechodzą od beztroski do rozpacz, gniewu czy frustracji.

Jęk wyraża potrzebę sensu, wolę głębokiego znaczenia rzeczy. Ludzkość więc jęczy, ponieważ pragnie za wszelką cenę wyzwolenia od pustego życia, od niewoli bożków (narkotyków, rabunków, różnych form przemocy, głodu, przerywania ciąży czy wyzysku).

Chrześcijanin zaś, jako taki, jest wezwany do usłyszenia jęku rodzenia, do uchwycenia go własnymi uszami, właśnie dlatego, że jęk nie wyraża się często przy pomocy hałaśliwych tonów, a zatem musi zostać uchwycony, podobnie jak doświadczona pielęgniarzka potrafi usłyszeć nocą jęk chorego, który nie ma nawet siły krzyczeć.

Nasz jęk

„Lecz nie tylko ono, ale i my sami, którzy już posiadamy pierwsze dary Ducha, i my również całą istotą swoją jęczymy oczekując (przybrania za synów) – odkupienia naszego ciała” (Rz 8, 23).

Jakkolwiek posiadamy pierwsze dary Ducha Świętego, co więcej, ponieważ nieco już zakosztowaliśmy, co znaczy być zbawionymi od braku sensu, od frustracji i próżności, my sami, jako chrześcijanie, jęczymy wiedząc, że zbawienie jeszcze się w pełni nie dokonało. Nasze jęki są naszymi najgłębszymi i najprawdziwszymi pragnieniami, które oczekują wyzwolenia, jak powiada Paweł Apostoł, *oczekują przybrania za synów*, pełnego stania się tymi, kim jesteśmy. Jesteśmy synami Bożymi, a jednak przeżywamy często ten fakt w nieświadomości, w małej wiedzy o nim, w ociężałości i bylejakości; jesteśmy obandażowani naszymi ułomnościami i nieprzejrzystościami.

Chcemy, aby się objawiło synostwo i abyśmy rzeczywiście mogli mówić do Boga jak do Ojca, jak do „Ty”, które nas kocha i zbawia.

I niech się objawi, dodaje św. Paweł, *odkupienie naszego ciała*. Pragniemy być wyzwoleni od zmysłowości rozumianej jako ciężar, aby móc przeżywać cielesność rozumianą jako dar. Jest to droga długa i trudna, wymagająca cierpliwości. Zawsze uderzało mnie wyznanie św. Teresy od Dzieciątka Jezus, która mówiła o trudzie ostatnich dni cierpienia przed śmiercią: „Moje ciało zawsze sprawiało mi kłopot, nie czułam się w nim dobrze... Już będąc małą, wstydziłam się go” (*Ostatnie rozmowy*, 30 lipca). Są to słowa, które ukazują, jak ta młoda kobieta, która wewnętrznie osiągnęła już poziom doskonałej ofiary, czuła jednak, że jeszcze niezupełnie zintegrowała w sobie całą rzeczywistość własnej cielesności. Zintegrowanie to wymaga najwyższej dojrzałości duchowej, którą osiąga się zwykle w trakcie całego, długiego życia.

Jan Paweł II wypowiedział tyle pięknych słów na temat cielesności jako symbolu i znaku oblubieńczego: kto jednak jest zdolny przeżyć je w rzeczywistości? Stąd więc jęk pod ciężarem cielesności, która jest trudem, pokusą, zmysłowością, ociężałością umysłu, niezdolnością do oddania się do dyspozycji innych i do zapomnienia o sobie.

Te jęki, które odzywają się w nas, są ważne, ponieważ są znakiem, że Duch Święty jest w nas, że w nas zamieszkuje, każąc nam zmierzać do czegoś, czego jeszcze nie posiadamy, lecz co nadaje sens naszej drodze.

Jęk Ducha

„Podobnie także Duch przychodzi z pomocą naszej słabości. Gdy bowiem nie umiemy się modlić tak, jak trzeba, sam Duch przyczynia się za nami w jękach, których nie można wyrazić słowami” (Rz 8, 26).

Nasze jęki są w pewien sposób wyrażalne i staraliśmy się powiedzieć coś na temat ich treści. Jednakże nie potrafimy wyjaśnić jęków Ducha Świętego, który krzyczy w nas i kieruje nami na modlitwie. Kiedy jednak udaje się nam uchwycić ten głos Ducha Świętego, także nasze jęki oczyszczają się i wydoskonalają.

W tych dniach powinniśmy dojść, dzięki dyscyplinie modlitwy, do uchwycenia jęków stworzenia i naszego ludu, współbrzmiących z niewyraźnymi jękami Ducha Świętego. Są one najwyższe i najgłębsze, lecz streszczają się zasadniczo, jak uświadamia nam to Apostoł Paweł, w słowie „Ojcze!”, które jesteśmy w stanie wypowiedzieć właśnie dzięki mocy Ducha Świętego z coraz większą prawdziwością, pokojem, oddaniem, czułością i zaufaniem.

Poznać i odnaleźć wymiar naszego powołania oznacza słuchać trzech wielkich jęków, rozeznawać je wewnątrz nas, dać im w nas miejsce. Zakres powołania jest równy zakresowi odczytywania tych jęków, a nie tylko zakresowi naszego małego, ciasnego jęku osobistego.

Niewiastą pośród swojego ludu określić można każdą kobietę, która razem z Maryją potrafi ogarnąć jęki całej ludzkości, która potrafi wyrazić i zestroić je z jękami Ducha.

Kobieta kananejska

Pierwsza scena ewangeliczna, nad którą chcemy się zatrzymać, przedstawia kobietę kananejską. Wybraliśmy tę scenę, ponieważ objaśnia na konkretnym przykładzie zdolność słuchania owych jęków. Jest to znakomity fragment, z którym możemy skonfrontować nasze życie, nasze postępowanie:

„Potem Jezus odszedł stamtąd i podążył w stronę Tyru i Sydonu. A oto kobieta kananejska, wyszedłszy z tamtych okolic, wołała: »Ulutuj się nade mną, Panie, Synu Dawida! Moja córka jest ciężko dręczona przez złego ducha«. Lecz On nie

odezwał się do niej ani słowem. Na to zbliżyli się do Niego uczniowie i prosili: »Odpraw ją, bo krzyczy za nami«. Lecz On odpowiedział: »Jestem posłany tylko do owiec, które poginęły z domu Izraela«. O ona przyszła, upadła przed Nim i prosiła: »Panie, dopomóż mi«. On jednak odparł: »Niedobrze jest zabrać chleb dzieciom, a rzucić psom«. A ona odrzekła: »Tak, Panie, lecz i szczenięta jedzą okruchy, które spadają ze stołu ich panów«. Wtedy Jezus jej odpowiedział: »O niewiasto, wielka jest Twoja wiara; niech ci się stanie, jak chcesz«. Od tej chwili jej córka była zdrowa" (Mt 15, 21–28).

Chciałbym poczynić trzy spostrzeżenia co do tego tekstu:

a) *Naród*. Pierwsze wzmianki z zacytowanego fragmentu dotyczą ludu, z którego pochodzi kobieta. Kananejczycy są tradycyjnie wrogo nastawieni do narodu wybranego, który przepędził ich z powodu ich pełnego okrucieństwa, dzikiego pogaństwa. Reprezentują zatem resztki dawnego zdemoralizowanego pogaństwa.

Ponadto powiedziane jest wyraźnie, że kobieta pochodziła „z tamtych okolic”, którymi są ziemie Tyru i Sydonu. Tyr i Sydon wywołują skojarzenie miast dumnych i napuszonych. O ile określenie „kananejska” może wskazywać na prymitywne, wiejskie, ludowe pogaństwo, to Tyr i Sydon podsuwają nam raczej obraz zuchwałości, miast dumnych, pyszniących się swoją potęgą, megalopolis bez Boga.

Kobieta wyłania się zatem z bardzo mrocznego tła, pochodzi z ludu pogrążonego w nonsense, w pustce, pozostającego w niewoli bóstw. Możemy powiedzieć, że pochodzi ona z nas, ponieważ wszyscy należymy do rodzaju ludzkiego, który pozbawiony znaczenia, ustawicznie poszukuje sensu, odczuwa ciągłą potrzebę prawdziwych i trwałych wartości.

b) *Córka*. Spoza kobiety wyłania się córka: „Moja córka jest ciężko dręczona przez złego ducha”.

Wydaje się dziwne, że mówi: „moja córka”, a nie: „nasza córka”. Prawdopodobnie matka jest samotna – wdowa albo opuszczona przez ojca dziecka, który odszedł właśnie z powodu córki, z którą trudno żyć. W takim czy innym przypadku mamy do czynienia z kobietą przygnębianą.

Co oznacza: „dreńczona przez złego ducha?”. Nie znamy szczegółów choroby, ale z pewnością chodzi o poważne depresje psychiczne. Zły duch oznacza tu nieprzychylną rzeczywistość, która powoduje zniechęcenie: dziewczyna rzuca się, płacze bez przerwy, z nikim nie chce rozmawiać, nic jej nie odpowiada itd. Jest ktoś, kto staje się uciążliwy, nieznośny, a komu trudno pomóc. Każdy z nas zna tego typu przypadki: osoby, które na wszystko się uskarżają, nigdy dobrze nie śpią, jedzenie im nie smakuje, ciągle coś im przeszkadza.

Być może w wyrażeniu: „dreńczona przez złego ducha”, kryje się coś więcej, na przykład to, o czym czytamy we fragmencie o epileptyku (Mt 17, 14–23): upodobanie w czynieniu zła sobie i innym. Sytuacja opisana przez kobietę nie jest zwyczajna, o czym świadczy użycie przez nią przysłowka „ciężko”.

Przychodzą mi na myśl rodziny, które miałem okazję poznać, w których matki są niewolnicami synów czy córek, niejednokrotnie nawet bite przez nich, a mimo to zawsze wybaczą, starają się to ukryć, nie dać po sobie niczego poznać, aż niekiedy obsesją staje się ich sposób obchodzenia się z tymi chorymi dziećmi.

Tak właśnie możemy wyobrazić sobie tę kobietę w jej stosunku do córki:

c) *Kobieta*. Patrząc na Kananejkę jako matkę i kobietę możemy ją określić przy pomocy trzech przymiotników: jest to kobieta utożsamiająca się, niezachwiana i pewna.

– *Utożsamiająca się*: mogłaby oddzielić swoje życie od życia córki, ale ona utożsamia się z nią do tego stopnia, że ewangelista chcąc to ukazać używa subtelnych skojarzeń w opisie:

„Ulituj się nade mną, Panie, moja córka jest ciężko dręczona...” Prosi o litość dla siebie, ale w rzeczywistości prosi o nią dla córki. Nalegając, woła: „Panie, dopomóż mi!”. Nie mówi: Pomóż mojej córce. W tej sytuacji wychodzi doskonała jedność, w jakiej żyją. Jezus odpowiada jej: „wielka jest twoja wiara; niech ci się stanie, jak chcesz”. Nie mówi nic o uzdrowieniu, gdyż kobieta zgromadziła w sobie jęki córki do tego stopnia, że samo wysłuchanie jej oznacza uzdrowienie córki.

– *Niezachwiana*: nie skarży się nawet w najmniejszym stopniu; tak bardzo pochłania ją troska o córkę, że nic jej nie zniechęca. Moglibyśmy sądzić, iż po wyczerpaniu wszystkich możliwych sposobów, mając za odpowiedź jedynie milczenie Jezusa, powinna postanowić: dość tego, nawet On mnie nie wysłuchał, lepiej dać sobie spokój. Ona jednak nalega z niebywałą siłą ducha, i nawet wtedy, kiedy Jezus odpowiada jej surowo, jej postawę cechuje godny podziwu upór, cierpliwość, pokora.

Wzięła na siebie tę sprawę z miłością – w tym sensie jej kobiecość jest doskonała! – i nie zrezygnuje z niej nigdy za żadną cenę.

– *Jest pewna Jezusa*: ma do Niego zaufanie. Jest kobietą, która przeszła w sobie „bród wiary”.

Tak więc jej wiara nie zależy do przejściowych korzyści, łask, od tego, czy Jezus odpowie jej dobrze, czy wyjdzie jej naprzeciw, czy zwróci na nią uwagę; jest tak bardzo pewna Jezusa, że nie zniechęca się, trwa, a dzięki temu, jak się o tym przekonamy, staje się odbiciem Maryi na weselu w Kanie.

Nasuwa się nam nieodparcie pytanie: jak to się dzieje, że ta kananejska kobieta, wywodząca się z mrocznej społeczności, która żyje w cieniu Tyru i Sydonu, miast tradycyjnie zamkniętych dla nieba, może mieć taką wiarę? Nie ulega wątpliwości, że wznosi się ona na najwyższe szczyty ewangelicznej nauki. Poprzez swoje bolesne utożsamienie się z córką Kananejka stała się pokorna, uboga i rozwiała już w swym sercu mroki nieufności, mgłę pychy i wyniosłości. Jest kobietą, która

znalazła już odkupienie w codziennym życiu, którą cierpienia każdego dnia przytłaczały, doprowadzając jednocześnie do doskonałego zaufania, właściwego „maluczkim”, dla których Ewangelia jest jasna, zrozumiała.

Kończąc, zastanówmy się:

– *Kto jest tą córką?* W córce rozpoznajemy po trosze samych siebie, nasze błędzenie, nasze złe nastroje, nasze wewnętrzne złości, niezadowolenie, zgodę na to, aby ogarniały nas dymy i mroki szatana. My sami jesteśmy tą córką, z tym wszystkim, co jest w nas złorzeczeniem, nieufnością, kłótniami, boczeniem się. Cała dzisiejsza ludzkość jest jako ta córka, przypomina jej niezadowolenie z siebie, te jęki, które nie zawsze są jękami nadziei, ale często złości, rozpacz, sceptycyzmu.

– *Kto jest tą matką?* Możemy sprawdzić na sobie rozważane wyżej postawy. I tak każda z was może się zapytać:

– W jakim stopniu utożsamiam się z trudnymi sytuacjami, sprawami, jakie mi zostały powierzone. Mam na myśli utożsamienie w sposób ofiarny, a nie zaborczy, jakby to była osobista własność. Nie chodzi tu bowiem o wasze realizowanie się jako kobiety czy jako zakonnice, ale o służenie, posługę, na miarę waszego powołania ludziom, którzy wam zostali powierzeni, zwłaszcza w trudnych i bolesnych sytuacjach.

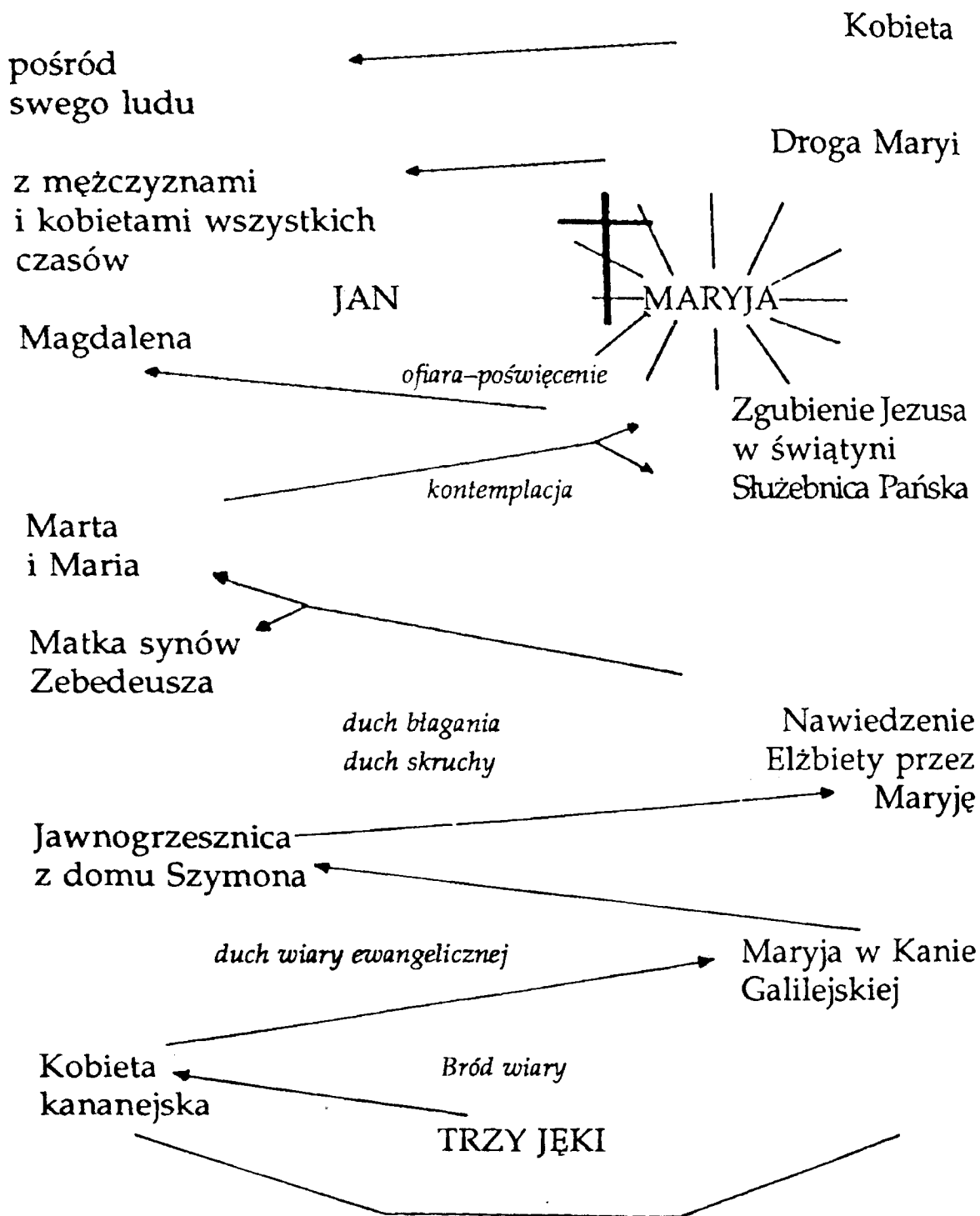
– Czy jestem niezachwiana? Czy nie uskarżam się, czy zawsze jestem zdecydowana służyć, pomagać za wszelką cenę, znajdować pozytywne sposoby pomocy, nie poddając się nigdy, nie rezygnując, nie opuszczając rąk, nie dając się opanować złości lub gniewowi?

– Czy jestem pewna Jezusa? Czy przekroczyłam w sobie „bród wiary”? Czy też, przeciwnie, nadal zastanawiam się, czy Pan mnie kocha, czy mi pomaga, czy jest blisko mnie, czy też o mnie zapomniał? Czy poza wyraźnymi pocieszeniami, w tym i na modlitwie, przeżywam głęboką, wewnętrzną pewność

Jezusa; czy czuję jęk Ducha, który mówi: „Ojcze”, i który powtarza to bez ustanku?

Takie oto pytania sugeruje nam kobieta kananejska. Mają nam one pomóc, nauczyć nas, jak być matkami tej ludzkości, jak przeżywać życie zakonne, poświęcone Bogu, jak przeżywać macierzyństwo wobec świata i człowieka, uczestnicząc w ten sposób w macierzyństwie Maryi.

MAPA GEOGRAFICZNA REKOLEKCJI



Objaśnienie mapy znajduje się na str. 99.

MARYJA SŁUCHA JĘKÓW ŚWIATA

Wesele w Kanie – J 2, 1–12

O Maryjo, kontemplujemy Ciebie stojącą przy krzyżu Jezusa, zjednoczoną z Nim w bólu, podobnie jak kobieta kananejska zjednoczona była w bólu i cierpieniu ze swoją córką.

Patrzymy na Ciebie, mężną, nieustraszoną jak Kananejka, tak że możesz w tym momencie wziąć na siebie powszechną, uniwersalną misję, gdyż poprzez osobiste cierpienie uczestniczysz we wszystkich cierpieniach całego świata, także i w naszych.

Naucz nas, Maryjo, jednoczyć się z Twoim Synem, z Jego cierpieniem i z cierpieniem całego świata; naucz nas wytrwałości, przez łaskę Ducha Świętego, którego pragniemy otrzymać od Ojca, w imię Jezusa. Amen.

Wesele w Kanie

Scena z Ewangelii, którą będziemy rozważać dzisiaj, to wesele w Kanie. Przedstawia ona Maryję, wsłuchaną w jęk świata. Mamy tu zatem do czynienia z pogłębieniem postawy kobiety kananejskiej.

„Trzeciego dnia odbywało się wesele w Kanie Galilejskiej i była tam Matka Jezusa. Zaproszono na to wesele także Jezusa i Jego uczniów. A kiedy zabrakło wina, Matka Jezusa mówi do Niego: »Nie mają już wina«. Jezus Jej odpowiedział: »Czyż to moja lub Twoja sprawa, Niewiasto? Czyż jeszcze nie nadeszła godzina moja?« Wtedy Matka Jego powiedziała do sług:

»Zróbcie wszystko, cokolwiek wam powie«. Stało zaś tam sześć stągwi kamiennych przeznaczonych do żydowskich oczyszczeń, z których każda mogła pomieścić dwie lub trzy miary. Rzekł do nich Jezus: »Napełnijcie stągwie wodą«. I napełnili je aż po brzegi. Potem do nich powiedział: »Zaczerpnijcie teraz i zanieście staroście weselnemu«. Oni zaś zanieśli. A gdy starosta weselny skosztował wody, która stała się winem – nie wiedział bowiem, skąd ono pochodzi, ale słudzy, którzy czerpali wodę, wiedzieli – przywołał pana młodego i powiedział do niego: »Każdy człowiek stawia najpierw dobre wino, a gdy się napiją, wówczas gorsze. Ty zachowałeś dobre wino aż do tej pory«. Taki to początek znaków uczynił Jezus w Kanie Galilejskiej. Objawił swoją chwałę i uwierzyli w Niego Jego uczniowie” (J 2, 1–12).

Fragment ten pełen jest tajemniczości, wystarczy zwrócić uwagę na rozpoczynające go słowa: *Trzeciego dnia*, które w Nowym Testamencie znajdują swoje głębokie odbicie. Trzeci dzień to przecież dzień Zmartwychwstania, dzień objawienia się w pełnej chwale. W tym przypadku jest to również trzeci dzień wielkiego tygodnia – tygodnia, w którym Jezus objawił się po raz pierwszy.

Odbywało się wesele. Tak wyraźne podkreślenie tego faktu powinno skłonić nas do refleksji. Wielki poeta religijny naszych czasów, piewca Madonny, pisze: „Warto zwrócić uwagę, że cała ewangelia jest jakby zaproszeniem na wesele. »Królestwo niebieskie podobne jest do króla, który wyprawił ucztę weselną swemu synowi« (Mt 22, 2). Samo wcielenie świętowane jest przez Kościół niczym ucztą weselną towarzyszącą zaślubinom Boga z całą naturą. Podobnie związki Izraela z Bogiem opiewane były przez lud jako najwyższe małżeńskie zjednoczenie, jako synteza wszelkiej ludzkiej miłości. Nawet eschatologia świata przedstawiona została przez Chrystusa w formie związku oblubieńczego: Oblubieńcem jest sam Jezus, cały Kościół zaś to oblubienica, oczekująca swojego ukochanego,

który powraca" (Davide M. Turoldo, *Non hanno piu vino*, Queriniana 1979, pp. 153–154).

Powyższe słowa pomagają nam zrozumieć skojarzenia, jakie wywołuje tajemniczy język św. Jana poprzez umieszczenie na pierwszym miejscu sceny wesela: w ten sposób, z tej rzeczywistości tak bardzo ludzkiej, wyłania się tajemnica Chrystusa.

Była tam matka Jezusa. Maryja zajmuje miejsce centralne, jest najbardziej wyeksponowaną postacią tego opowiadania. Nawet Jezus i Jego uczniowie pojawiają się jakby w cieniu: „Zaproszono na to wesele *także* Jezusa”. Dla Ewangelisty postać Matki jest bez wątpienia postacią centralną i to od niej kieruje się nasza uwaga na Jezusa. Cud będący objawieniem chwały Jezusa dokonuje się poprzez Matkę. Wyrazistość i głębia symboli zawartych w tym fragmencie nie pozwalają w pewnym sensie wypowiedzieć tych treści słowami: dlatego zachęcam was, abyście kontemplowały i smakowały je, poddając się wewnętrznemu działaniu mocy Ducha.

Ograniczę się do podkreślenia momentów szczególnie istotnych dla naszych rozważań ujmując je w trzech punktach: Maryja ogarnia całość; Maryja utożsamia się; Maryja nieustraszona.

Maryja ogarnia całość

Za punkt wyjścia weźmy piękne spostrzeżenie św. Teresy od Dzieciątka Jezus, która opowiadając w swojej biografii o czasach dzieciństwa, pisze: „Byłam wesołego usposobienia, ale nie potrafiłam bawić się odpowiednio do wieku; często podczas przerwy opierałam się o drzewo i stamtąd ogarniałam okiem plac zabaw, snując poważne refleksje” (*Dzieje duszy. Rękopis A*, 115).

Ten fragment jest doskonałą ilustracją daru Maryi, ujawnionego podczas uczty weselnej w Kanie.

W ewangelicznym opowiadaniu wszyscy mają jakieś zajęcie: jedni krzątają się w kuchni, inni podają do stołu, jeszcze inni grają na instrumentach. Jedynie Maryja *widzi całość*, dostrzega i ogarnia wszystko. Rozumie istotę tego, co się dokonuje, oraz widzi, czego istotnego brakuje. Na tym polega duch kontemplacyjny Maryi, jej umiejętność syntezy, zdolność dostrzegania wielu rzeczy. Niewątpliwie i Jej przypada w udziale obowiązek jakiejś konkretnej pomocy: Ona jednak, patrząc na poszczególne rzeczy, jakby stojąc oparta o drzewo, by posłużyć się tu wyrażeniem Świętej z Lisieux – ogarniała całość sytuacji.

Dar syntezy jest umiejętnością typowo kobiecą: umieć dostrzec istotę rzeczy, sedno sprawy sercem, a nie poprzez rozumowe analizowanie wszystkich szczegółów.

Maryja dostrzega, słyszy niewyraźny jęk, wołanie świata i wyraża w prostych słowach: *Nie mają już wina*. Tylko Ona jedna wypowiada te słowa. Możliwe, że inni też zauważyli, ale jakby we śnie: widzą, że czegoś zaczyna brakować, a ponieważ nie wiedzą, co zrobić, wołają udawać, że niczego nie widzą.

Błogosławieństwem waszego powołania zakonnego jest właśnie to kształtowanie w sobie – nawet gdy wypełniacie poszczególne zadania – spojrzenia ogarniającego całość sytuacji wspólnot, grup, Kościoła, społeczeństwa, w taki sposób, abyście potrafiły dostrzec z miłością trudne chwile wymagające dużego taktu i w razie potrzeby zabrać głos lub zaradzić im dyskretnie, ale skutecznie.

Każda zakonnica winna pragnąć tego wspaniałego daru kontemplacji; nie chodzi tu bowiem o fachowość, biegłość, znanstwo ani doskonałość w wykonywaniu takiej czy innej pracy, ani też o specjalizację w jakiejś ludzkiej umiejętności, chodzi przede wszystkim o umiejętność widzenia globalnego, takiego, w którym nie zatracą się znaczenia całości. Być może trudno to wyrazić, ale jest to ważne, a nawet konieczne dla życia Kościoła.

Dostrzegamy w nim dar kierowania, skuteczności, umiejętnego programowania: jest to dar „Piotra”, fundamentalny,

podstawowy dla funkcjonowania całego organizmu Kościoła. Dar kontemplacji jest czymś bardziej subtelnym, trudniejszym do zdefiniowania, czymś, co decyduje o jedności, co nadaje smak, zapach, konsystencję całemu Kościołowi. Taki jest właśnie dar Maryi i gdyby go zabrakło, Kościół mógłby stać się społecznością ekspertów, fachowców, specjalistów, w której każdy usiłowałby przeforsować swoją własną indywidualną wizję, nierzadko spierając się z innymi w imię przypisywanej sobie kompetencji.

Charyzmat Maryi to właśnie owo krzepiące spojrzenie na cały Kościół, które uwrażliwia, pozwalając dostrzec wszystkie bolesne punkty, i sprawia, że wyrażając je, stara się zaradzić, powiadamiając kogo trzeba i zachęcając do interwencji. W Kanie Maryja sama bezpośrednio nie zaopatruje w wino, lecz ujawnia jego brak i zarządzenie temu powierza Synowi.

Prośmy zatem Maryję Dziewicę, aby zechciała spojrzeć także na naszych biesiadników, nasze wspólnoty, nasze Kościoły lokalne, nasz Kościół włoski, a także Kościół Powszechny; prośmy, ażeby miała w opiece również tę ucztę, jaką jest nasze społeczeństwo, i żeby uczyniła nas wrażliwymi na potrzeby innych, aby użyczyła nam swojego kontemplacyjnego, życzliwego, szczerego spojrzenia, jakim Ona sama patrzyła na ucztę weselną w Kanie. Prośmy Maryję, żeby nie dopuściła do tego, aby nasze serca zasmucały się z powodu drobnych prywatnych niepowodzeń, ale żeby pozwoliła nam jednomyślnie, zgodnie uczestniczyć w wielkiej uczcie ludzkości, dostrzegając i rozumiejąc sytuację tych wszystkich, którym brak wina, chleba, radości, którzy nie biorą udziału w uczcie.

Każda z wam może zadać sobie takie oto pytania:

– Czy moje własne zadania, własna praca nie pochłaniają mnie do tego stopnia, że nie starcza mi już sił na zainteresowanie się życiem całej wspólnoty, Kościoła, społeczeństwa?

– Czy przypadkiem nie dążę z takim uporem, z taką zaciętością do wypełnienia osobistych powinności, że prze-

stałam rozumieć, jak się one mają do całości uczty przy obficie zastawionym stole, w której wszyscy biorą udział?

– Czy niedostatek kontemplacji nie powoduje, że patrząc na drzewo zapominam o lesie?

Maryja utożsamia się

Maryja mogłaby poprzestać na tym kontemplacyjnym akcie, gdyby jednak tak postąpiła, nie okazałaby wytrwałości Kananejki, swojej identyfikacji z sytuacją. Poprzestałaby jedynie na analizie socjologicznej, statystycznej, nie dotykając złożoności problemu. Ona natomiast przeciwnie – zaangażowała się do tego stopnia, że naraziła się nawet na wyrzuty ze strony Jezusa. Chodzi tu o zagadkowe, tajemnicze słowa, na temat których egzegeci biblijni napisali całe tomy nie osiągając jednak pełnej zgody co do ich dokładnego, właściwego znaczenia.

Czyż to moja lub Twoja sprawa, Niewiasto? Z pewnością nie są to słowa zachęty, niezależnie od tego, jakie znaczenie usiłowałyby się im nadać. Maryja przyjmuje je, gdyż do tego stopnia utożsamia się z sytuacją, jakby to ona sama w niej się znalazła. Słowa: *Nie mają już wina...* brzmią w tym kontekście tak, jakby chciała powiedzieć: Nie mamy już wina. Staje się przez to częścią tego ubogiego ludu, o którym ewangeliczna opowieść nic bliższego nie mówi; nie wiemy nawet, jak się owa rodzina nazywała.

Fakt, że na uczcie zabrakło wina, nie jest w gruncie rzeczy aż tak istotny. Biesiadnicy rozeszliby się do domów nie mniej syci. A zatem brak, który zauważyła Maryja, nie jest z tych najbardziej dokuczliwych; nie jest to sprawa życia bądź śmierci; jest to jedynie kwestia dobrego samopoczucia, czegoś nieokreślonego, nie do końca sprecyzowanego, czegoś, co sprawia, że czujemy się dobrze, a czego najczęściej nam brakuje. Często pozbawieni jesteśmy tego „nieokreślonego źródła” radości,

entuzjazmu, zapału, koniecznych, aby wszystko toczyło się we właściwym kierunku.

Ileż wspólnot odczuwa brak takiego wina! Zachowują istotę życia zakonnego, dotrzymują ślubów, uważnie i z powagą uczestniczą w nabożeństwach, w zadowalający sposób podejmują i wykonują różne dzieła zewnętrzne, a jednak nie ma w tym „czegoś nieokreślonego”, czego symbolem jest wino.

Wspólnoty zakonne winny prosić Maryję o łaskę odkrycia „tego czegoś”, tego wina. Nie wystarczają bowiem przeprowadzane przez nas analizy socjologiczne. Na uporczywe pytanie: dlaczego obserwujemy spadek powołań? – odpowiadamy rozmaicie: nie nadążamy za duchem czasów bądź zmodernizowałyśmy się za bardzo; pozostałyśmy zamknięte bądź otworzyłyśmy się przesadnie; zachowałyśmy habit bądź zrezygnowałyśmy z niego. W rzeczywistości jednak tego, co najistotniejsze, nie da się do końca wyrazić, nawet jeśli się to dostrzega odwiedzając wspólnoty sióstr zakonnych i jeśli się czuje, że mimo nie dających się uniknąć niedoskonałości – tam wino jest, tam wina nie brakuje.

Maryja może pomóc nam w odkryciu tego, czego nam brakuje, nie po to, byśmy się obwiniali czy nad sobą użalali, ale dlatego, abyśmy umieli patrzeć i kochać. A przede wszystkim może pomóc w odkryciu tego, czego brakuje we mnie, w poznaniu tego czegoś nieokreślonego, co czyni moje życie pełniejszym. Być może chodzi tu o zupełnie drobiazgi, o małe kroki, jakie muszę poczynić w zakresie dyscypliny ciała, ducha czy myśli; może o drobne przebaczenia, wyrzeczenia, zapanowanie nad małymi napięciami czy słowami. Może jestem blisko tego, aby objawiło się we mnie dobre wino.

Ewangelista trzykrotnie używa przymiotnika *dobry*: „Każdy człowiek stawia najpierw *dobre* wino, a gdy się napiją, wówczas mniej *dobre*. Ty zachowałeś *dobre* wino aż do tej pory”. Może się zdarzyć bowiem, że wino naturalne nie jest dobre bądź z powodu gorszej jakości winogron, bądź z powodu niedostatecznego opanowania sztuki przez tego, kto je przygotował.

Jezus domaga się dobrego wina, będącego rezultatem całego zespołu czynników: jakości winogron, słońca, ciepła, odpowiedniej gleby, umiejętnego przygotowania i przelewania. Pragnie tego zarówno dla naszego życia, jak i dla pełni naszych wspólnot, dla radości kobiety w Kościele i społeczeństwie.

Dobre wino, którego pragnie Jezus, to także promieniowanie charyzmatami, zapalem i gotowością do służby, przejawiające się u wszystkich ochrzczonych, w szczególności u wszystkich kobiet żyjących we wspólnocie Kościoła.

Wino, którym obdarza Jezus w Kanie, jest bez miary, niewyczerpalne, jest w obfitości. „Sześć stągwi kamiennych..., z których każda mogła pomieścić dwie lub trzy miary”, wypełnionych po brzegi.

Nasze życie duchowe, naznaczone, być może, oschłością czy zmęczeniem, musi w swej głębi stać się tryskającym winem, obfitością Ducha, który żywi nas dzień i noc, który nigdy nas nie opuszcza; nie może być jedynie resztką na dnie kielicha, wystarczającą zaledwie na ugaszenie pragnienia.

Maryja jest nieustraszona

Jezus nie obiecuje, że uczyni coś, by zaradzić sytuacji, mimo to Maryja zwraca się do sług słowami: „Zróbcie wszystko, cokolwiek wam powie”.

Jej słowa mają znaczenie biblijne, niejako potwierdzone przez czas. Te same słowa wypowiedział bowiem Faraon, gdy w Egipcie zapanował głód i ludziom brakowało wszystkiego: „»Udajcie się do Józefa i, co on wam powie, czyńcie«. Gdy był głód na całej ziemi, Józef otwierał wszystkie spichlerze, w których było zboże” (Rdz 41, 55–56). Postać Maryi ukazana jest w świetle kogoś, kto zaspokaja głód całego kraju. Maryja Jest Tą, poprzez którą objawia się na ziemi moc Jezusa. Ona jest pewna swojego Syna, ponieważ jest On Synem Boga.

Być może właśnie tej pewności brakuje nam tak często. Być może zauważamy niedostatek wina; być może dostrzegamy

z pewnym smutkiem jałowość naszego życia osobistego, życia naszej wspólnoty, naszych Kościołów lokalnych; nie potrafimy jednak pokonać płytkości naszej wiary, „brodu wiary”, przedstawiamy więc na gorzkim rozpatrywaniu tej czy innej sytuacji lub szukamy niewłaściwych rozwiązań.

Ileż razy, słuchając wyników pewnych analiz czy ocen, np. na temat spadku liczby powołań, odnoszę wrażenie, że proponuje się środki zaradcze bez przekonania. Wiemy, że potrzebne są rady, lekarstwa, konieczne jest zaprogramowanie ich, trzeba coś zrobić, ale jednak brakuje w tym wszystkim takiego zaufania Jezusowi, które potrafi nadać mocy naszemu działaniu. Nie wierzymy dostatecznie silnie. Nasza wiara nie jest wystarczająca, brakuje nam tego skoku jakościowego, który nie polega na szukaniu klucza do ukrytego skarbu, ale na zawierzeniu Jezusowi nawet w najzwyczajniejszych sprawach, w najbardziej bezpośrednich przejawach naszego życia zakonnego.

Każda z was może sobie zadać pytanie:

– W jaki sposób mogę naśladować Maryję, pozwalając, aby Duch Święty obudził we mnie dar syntezy, ową zdolność ogarniania całości?

– Jak mogę uczestniczyć w owym solidaryzowaniu się Maryi Dziewicy?

– Jak osiągnąć Jej niewzruszoność, która polega na całkowitym zaufaniu, zawierzeniu Chrystusowi?

Odpowiedź nie jest łatwa, jest nią bowiem całe życie ewangeliczne. Istnieje ważny sposób, często nie doceniany, a mianowicie: kontemplacja. Możemy przybliżyć się do Maryi poprzez modlitewną lekturę Słowa Bożego, poprzez czytanie Pisma w Duchu Świętym.

Nie wystarczy nauczyć się takiej lektury teoretycznie. Konieczne jest pogłębianie jej. Uczyć się jej oznacza ćwiczyć się w niej, praktykować ją, kładąc nacisk na niektóre słowa czy aspekty danego fragmentu Ewangelii. Następnie należy

ponownie go przeczytać, porównując ze sobą słowa, jak to czyniła Maryja, która „zachowywała wszystkie te sprawy i rozważała je w swoim sercu” (Łk 2, 19, 51).

Maryja jest dla nas wzorem solidaryzowania się i męstwa, ponieważ jest wzorem kontemplacji. W tym tkwi jedna z tajemnic życia zakonnego w Kościele: umiejętność bycia źródłem kontemplacji, kształcenia nauczycielek modlitwy i kontemplacji, które następnie będą ukazywać takie wymiary życia każdemu chrześcijaninowi, każdemu mężczyźnie, każdej kobiecie, począwszy od szóstego roku życia. Przychodzi mi na myśl w tej chwili święta Teresa od Dzieciątka Jezus, która jeszcze jako dziecko, obserwując przyrodę, czuła, jak rodzi się w niej kontemplacja (*Dzieje duszy. Rękopis A, 50*).

Ten dar kontemplacji, obecny u tylu dzieci, tylu dziewczynek i chłopców, nie jest rozumiany przez wychowawców, którzy osobiście go nie doświadczyli.

Najistotniejszym zadaniem osoby poświęconej Bogu jest rozwijanie kontemplacji, ukazywanie jej innym, odkrywanie jej u innych; powinna postępować tak, aby społeczeństwo uznało wyższość kontemplacji nad działaniem, wyższość istnienia nad aktywnością, bycia nad posiadaniem.

Maryjo, pomóż nam kształtować nasze serca na wzór Twojego kontemplacyjnego istnienia w Kościele.

BRÓD WIARY

Homilia na temat: Ez 28, 1–10; Mt 19, 23–30

Obydwa czytania liturgiczne ukazują nam dwa aspekty tej ziemi, z której pochodzi kobieta kananejska, ziemi Kanaan czy Tyru i Sydonu: sytuację mroku i grzechu właściwą nam jako rodzajowi ludzkiemu, sytuację, z której zostaliśmy wezwani przez miłosierdzie Boże do zbawienia, a z którą związani jesteśmy przez całe życie.

Życie zakonne, poświęcone Bogu, jest stopniowym wychodzeniem – poprzez chrzest i śluby zakonne – z naszej rodzinnej ziemi, na której urodziliśmy się i żyjemy.

Teksty biblijne ukazują nam dwie charakterystyczne cechy, typowe dla środowiska grzechu, w jakim tkwi ludzkość.

Pierwszy tekst (Ez 28, 1–10) akcentuje przede wszystkim wyniosłość, dumę w osobie księcia Tyru. Fragment ten stanowi część serii prorocत्व przeciw narodom, które przedstawiają ciemny obraz rzeczywistości ludzkiej.

Drugi tekst (Mt 19, 23–30) odnosi się do sprawy posiadania i bogactwa.

Pierwsze spostrzeżenie

Obydwa czytania podkreślają wady i negatywne cechy bardziej typowe dla mężczyzn niż kobiet. Duma, pragnienie władzy to cechy typowo męskie. U kobiety występują raczej w postaci próżności, pragnienia bycia ważną dla kogoś, bycia

chwaloną i podziwianą. W każdym razie jest to inna odmiana tej samej zasadniczej skłonności do dumy.

Również chęć posiadania, pragnienie gromadzenia pieniędzy jako takich, właściwe są mężczyźnie; dla kobiety pieniądź przedstawia wartość o tyle, o ile pozwala na kupno biżuterii, ubrań, ładnych rzeczy. Są to dwojaki, wzajemnie się uzupełniające aspekty tej samej rzeczywistości.

Chciałbym jednak uczynić pewną małą uwagę. To prawda, że w przypadku kobiety te podstawowe uchybienia ducha ludzkiego przejawiają się jako próżność, pragnienie pochwał, popisywania się. Gdy jednak od pojedynczych osób przechodzi się do związków, grup, wspólnot, widać, że wtedy zagrażają dosłownie całym społecznościom. Istnieje grupowa duma, grupowa wyniosłość, jak również grupowy duch posiadania, co poważnie zagraża również i żeńskim zgromadzeniom zakonnym. Osobiście praktykujemy ubóstwo, posłuszeństwo, wyrzeczenie, ale wydaje się nam, że nie powinno to dotyczyć wspólnoty jako takiej, ponieważ – jak to się mówi – interesy są interesami, trzeba być przezornym.

W pewnym sensie to prawda, dla mnie jednak szczególnie budującymi są te wspólnoty zakonne, które praktykują wspólnotową pokorę, obojętne są na pieniądź i wszelką własność, dają świadectwo prawdziwej prostoty życia.

Musimy uświadomić sobie, że zadanie uświęcenia i znalezienia drogi wyprowadzającej z ziemi Kanaan obowiązuje całą wspólnotę, a nie tylko poszczególnych ludzi. Dlatego przełożeni winni czuwać nad tym i bronić ubóstwa wspólnoty przed krytykami ze strony tych, którym słuszne wydaje się gromadzenie dóbr i pieniędzy. Naturalnie, rozsądne podejście do tej sprawy nie zawsze jest łatwe.

Drugie spostrzeżenie

Opisy nadużycia władzy zawarte w czytaniach biblijnych wydają się w pierwszej chwili przesadzone i skłonni jesteśmy

sądzić, że jest to mowa o czymś, co nam nigdy się nie przydarzy. Nikomu z nas nie przyjdzie do głowy być do tego stopnia pysznym, aby powiedzieć: „Jestem bogiem”, lub by zasiąść na tronie boskim pośród mórz! Wyciągamy więc wniosek, że to czytanie nas nie dotyczy.

Proponuję jednak zastanowić się nad dwoma przykładami, które mogą dotknąć nas z bliska.

– Co w życiu osobistym zakonnicy odpowiada dumnemu stwierdzeniu, przypisywanemu władcy Tyru? Odpowiada mu niepokonanie „brodu wiary”, fakt, że nie pozwoliłyśmy w sposób zdecydowany, aby Bóg określił plan naszego życia, aby je ukierunkował.

To, co w tekście Ezechiela jest dumą, pychą, a co u kobiety może się uzewnętrznić jako pewna próżność, potrzeba pokazania się – w życiu wewnętrznym staje się przywiązaniem do własnego planu: planu zajęć, jakie zostały mi wyznaczone, czasami ze względu na moje kompetencje, oraz planu rozwoju duchowego. Podświadome nadzieje, do których jestem tak silnie przywiązana, powodują, że w istocie nie dopuszczam do tego, aby Bóg do końca działał we mnie i postępował ze mną inaczej. Chciałabym być inna, wolna od ograniczeń i wad, ale pragnę tego z niecierpliwością i pozostaję tak niezadowolona z siebie i z innych, zamiast podjąć ascezę ciała i ducha. To właśnie oznacza niepokonanie brodu wiary. Niekiedy wyraża się to w rozżaleniu na drogę, w którą zaangażowałam się, oczekując nie wiadomo czego, a która w rzeczywistości wygląda zupełnie inaczej. Czuję się rozczarowana sama sobą, rozczarowana wspólnotą, i zamiast odczytać to jako powód, aby zdać się na plan Boga, poddać się Jego zamysłowi, popadam w przygnębienie, w depresję, zniechęcenie, różnego typu nerwice.

Oto co może odpowiadać – w naszym duchowym rozwoju – zadziwiającej dumie księcia Tyru, która wydaje się być tak odległa naszemu doświadczeniu.

– I jeszcze: co odpowiada chęci posiadania, o której mówi ewangeliczny fragment, a co wydaje się nas nie dotyczyć? Powiedziałbym, że chodzi tu o przywiązanie do rzeczy małych, o które łatwiej niż w przypadku rzeczy wielkich. Chodzi tu o skłonność do posiadania, która ujawnia się zwykle i nasila z wiekiem, by w końcu przerodzić się w niepokój o zabezpieczenie, do jakiego jesteśmy przyzwyczajeni: dom, środowisko, w którym żyjemy, grono znajomych i przyjaciół, stanowiące część naszej misji apostołskiej, i rzeczywiście jest nam pomocne. Wszystko to staje się naszą własnością, i to do tego stopnia, że sama myśl, iż moglibyśmy być tego pozbawieni, przejmuje nas i powoduje w naszym wnętrzu głęboki wstrząs. Ileż dramatów, na przykład przy przenosinach, spowodowanych jest przywiązaniem do rozmaitych rzeczy, które stały się częścią naszego życia! Nie ma w tym nic dziwnego, ale powinno się to stać dla nas sygnałem alarmowym przypominającym, jak długa jest jeszcze droga przed nami, zanim potrafiemy stać się prawdziwym darem z nas samych.

Irytacja do niczego nie prowadzi, niczemu nie służy, potrzebne jest raczej zaufanie słowom Boga: „Dla ludzi jest to niemożliwe, ale dla Boga wszystko jest możliwe”. Cud przejścia wielbłąda przez ucho igielne może się przydarzyć również i nam, którzy wciąż jesteśmy trochę obciążeni jak wielbłądy, chociaż wydaje się nam, że zrezygnowaliśmy już z tylu rzeczy.

„Dla Boga bowiem nie ma nic niemożliwego” – to słowa, które odsyłają do wielkich wątków maryjnych, gdyż zostały wypowiedziane w związku z narodzinami Jana Chrzciciela, a zatem łączą się z tajemnicą Zwiastowania i Nawiedzenia. Dla Boga z pewnością jest możliwe przeprowadzenie mojego życia – ze wszystkimi jego powiązaniem – przez ucho igielne, jakim jest tajemnica krzyża. Konieczne jest jedynie, abym była pewna Jezusa, jak kobieta kananejska, abym Mu zaufała, abym Mu zawierzyła, bez wyobrażania sobie, że kto wie, jak bardzo się oddaliłam, zobojeźniałam.

Panie, ufam Tobie, Ty wiesz, że Cię kocham, Ty znasz moją słabość i kruchość, Ty wiesz, iż nawet wtedy, kiedy wydaje mi się, że potrafiłem się oderwać, skarżę się niczym zraniony orzeł, gdy tylko pozbawiony jestem czegoś, co wydaje mi się ważne, istotne. Ty, Panie, prowadzisz mnie swoją mocą w moim wyjściu z Egiptu, na podbój ziemi Kanaan. I Ty, Maryjo, pomóż mi patrzeć w głąb siebie i na siebie tym spojrzeniem prawdy, wolności, prostoty, które ustawia mnie na właściwej drodze, krzyża i zmartwychwstania.

DUCH WIARY EWANGELICZNEJ

Grzesznica w domu Szymona – Łk 7, 36–50

Maryjo, Ty, która u stóp krzyża wyczułaś poprzez drgania umierającego Jezusa pulsowanie prawdziwej mocy odkupienia mężczyzny i kobiety, spraw, abyśmy również potrafili wyczuć ją i aby ta moc rozedrgała się w naszym ciele, w naszym głosie i w tylu innych osobach, które tak jak my i z nami powołane są do pełnienia tej misji.

Poświęćmy ten dzień na rozważanie w obecności krzyża – Serca Odkupienia.

Rozważaliśmy niektóre idealne postawy kobiety: widziałyście kobietę, która utożsamia się z bolesnymi sytuacjami społeczeństwa, która mężnie stawia im czoło, która wnosi w nie ducha niezachwianej wiary.

Teraz chcemy pogłębić naszego ducha wiary w Odkupienie, dzięki któremu my, będąc słabymi i nędznymi grzesznikami, stajemy się narzędziami zbawienia.

Grzesznica w domu Szymona

„Jeden z faryzeuszów zaprosił Go do siebie na posiłek. Wszedł więc do domu faryzeusza i zajął miejsce za stołem. A oto kobieta, która prowadziła w mieście życie grzeszne, dowiedziawszy się, że jest gościem w domu faryzeusza, przyniosła flakonik alabastrowy olejku, i stanawszy z tyłu u nóg Jego, płacząc, zaczęła łzami oblewać Jego nogi i włosami

swej głowy je wycierać. Potem całowała Jego stopy i namazczała je olejkim.

Widząc to faryzeusz, który Go zaprosił, mówił sam do siebie: »Gdyby On był prorokiem, wiedziałby, co za jedna i jaka jest ta kobieta, która się Go dotyka, że jest grzesznicą«. Na to Jezus rzekł do niego: »Szymonie, mam ci coś powiedzieć«. On rzekł: »Powiedz, Nauczycielu«. »Pewien wierzyciel miał dwóch dłużników. Jeden winien mu był pięćset denarów, a drugi pięćdziesiąt. Gdy nie mieli z czego oddać, darował obydwoim. Który więc z nich będzie Go bardziej miłował?« Szymon odpowiedział: »Sądzę, że ten, któremu więcej darował«. On mu rzekł: »Słusznie osądziłeś«.

Potem zwrócił się do kobiety i rzekł Szymonowi: »Widzisz tę kobietę? Wszedłem do domu twego, a nie podałeś Mi wody do nóg; ona zaś łzami oblała Mi stopy i swymi włosami je otarła. Nie dałeś mi pocałunku; a ona, odkąd wszedłem, nie przestaje całować nóg moich. Głowy nie namaściłeś Mi oliwą; ona zaś olejkim namaściła moje nogi. Dlatego powiadam ci: Odpuszczone są jej liczne grzechy, ponieważ bardzo umiłowała. A ten, komu mało się odpuszcza, mało miłuje«. Do niej zaś rzekł: »Twoje grzechy są odpuszczone«. Na to współbiednicy zaczęli mówić sami do siebie: »Któż On jest, że nawet grzechy odpuszcza?«. On zaś rzekł do kobiety: »Twoja wiara cię ocaliła, idź w pokoju« (Łk 7, 36–50).

Jest to bardzo piękny fragment i trudny do zinterpretowania, ponieważ niezwykle w każdej swej części. Przede wszystkim, można by powiedzieć, że jest na granicy tego, co wypada. Wyobraźmy sobie, że coś podobnego zdarzyłoby się podczas wizytacji duszpasterskiej: jakież skandal wywołałoby to wśród ludzi i jakie zjadliwe serwisy filmowe i fotograficzne powstałyby dla rozmaitych tygodników. Nie przypadkiem opowiada o tym jedynie św. Łukasz ewangelista.

Trudno jest uchwycić jego właściwe znaczenie. Dodatkową trudność powoduje fakt, że egzegeci nie są zgodni co do

tłumaczenia niektórych słów. Np. słynne zdanie: *Dlatego powiadam ci: Odpuszczone są jej liczne grzechy, ponieważ bardzo umiłowała*, sprawia pewien kłopot. Wydaje się, że bardziej logicznie byłoby powiedzieć: „ponieważ bardzo umiłowała, odpuszczone są jej liczne grzechy”. Lub: „ponieważ odpuszczone zostały jej liczne grzechy, okazuje miłość”. Natomiast w takiej formie, w jakiej jest, tekst okazuje się trudny do zrozumienia, uchwycenia właściwego znaczenia, i wprawia w zakłopotanie egzegetów i komentatorów, którym trudno ustalić, gdzie pada akcent.

Podobnie jest ze stwierdzeniem: *Twoja wiara cię ocaliła*. Czy tematem fragmentu jest zatem miłość, czy wiara? Skąd nagle pojawia się wiara, skoro dotąd była mowa o miłości?

Wreszcie fragment trudny jest i z tego względu, że aby go zrozumieć, trzeba by poznać do głębi planetę-kobietę, jej reakcje, sposoby wyrażania się kobiety, które często pozostają nie rozpoznane; prawdą jest, że Szymon nie zagłębia się w tę planetę, a zatem niczego nie rozumie. Do tego potrzebne jest serce Chrystusa; tylko On potrafi przeniknąć „tajemnicę” kobiety i poznać istotę sytuacji, pomijając rozliczne sprzeczne oceny danego faktu.

Podobnie jak w przypadku innych obrazów ewangelicznych, ograniczę się do nakreślenia kilku uwag ogólnych, dotyczących Szymona, kobiety, Jezusa.

Szymon

Dobrze będzie przeczytać tekst bezpośrednio poprzedzający nasz fragment. Jezus, wygłosiwszy pochwałę Jana Chrzciciela, mówi: „Przyszedł bowiem Jan Chrzciciel: nie jadł chleba i nie pił wina, a wy mówicie: »Zły duch go opętał«. Przyszedł Syn Człowieczy: je i pije; a wy mówicie: »Oto żarłok i pijak, przyjaciel celników i grzeszników«. A jednak wszystkie dzieci mądrości przyznały jej słuszność” (Łk 7, 33–35).

Jezus, jak widać, był odbierany w bardzo różny sposób: każdy osądzał Go ze swojego punktu widzenia i jeśli nie ustawił się we właściwej perspektywie, nie mógł Go zrozumieć, a zatem nie przyznawał racji mądrości.

To właśnie zdarzyło się w domu Szymona: ani Szymon, ani zaproszeni goście, ani nawet apostołowie nie rozumieją Jezusa. Rozumie Go jedynie kobieta, córka mądrości.

Spójrzmy tymczasem na Szymona.

1. Szymon po prostu nie pojmuje tego, co się dzieje, jest przerażony, zaskoczony, skonsternowany kłopotliwą sytuacją, jaka się wytworzyła, oraz tym, że ośmiesza się przed innymi faryzeuszami. Zapraszając Jezusa sądził, że zdobył się na odważny gest i że prawdopodobnie daje Jezusowi szansę wystąpienia w roli Mistrza, roztropnego, surowego, rygorystycznego, wymagającego, mądrego. Tymczasem jego plan nie powiódł się i sam Szymon teraz nie wie, co robić. Mistrz ośmiesza się wobec jego bliskich, zgromadzeni ludzie szemrają, są zaniepokojeni. Szymon jest więc zmartwiony, chciałby interweniować, ale nie śmie, widząc, że Mistrz zdaje się angażować w tę sytuację, również i ten fakt zbija go z tropu. Oczywiście mógłby po prostu powiedzieć kobiecie: „Wynoś się stąd”. Jednak nie ma odwagi tego uczynić. Jest człowiekiem wewnątrznie bardzo skomplikowanym, niezadowolonym z tego, co dzieje się wokół niego, i bynajmniej nie przychodzi mu do głowy, żeby oskarżyć siebie. Uważa się raczej za bohatera poszkodowanego przez sytuację; usiłował zrobić wszystko, by uczyć, uhonorować Jezusa, chciał uczynić Go przyjacielem ważnych osobistości, które spoglądały na Niego niechętnie, a teraz jego nadzieje spełzły na niczym. W najmniejszym stopniu nie czuje się odpowiedzialny czy winny; co więcej, sądzi, że jest jedyną osobą zachowującą godną postawę w tej trudnej i kłopotliwej sytuacji. Możemy więc sobie

wyobrazić jego zmieszanie, kiedy Jezus, odwracając zupełnie sytuację, oskarży jego właśnie.

Jak Szymon widzi kobietę? Drażni go niczym dym w oczach, dostrzega jej negatywną rolę społeczną, patrzy na nią z pogardą i w swym sercu czuje pogardę dla naiwności Jezusa, który nie zauważa, że dał się nabrać, właśnie On, Ten, który wydał się mieć tyle zdrowego rozsądku i tak dobrze znać ludzi.

Kobieta jest dla Szymona jedynie przeszkodą do usunięcia, a nie rzeczywistością godną uwagi. Nie chcąc jej wyrzucić, czeka, żeby sobie sama poszła, a wtedy rozmowa wreszcie przybierze inny obrót. Szymon prawdopodobnie udaje, że nie widzi kobiety, że zajmuje go co innego, jednak ze złością śledzi ją wzrokiem licząc, że zbije ją z tropu.

2. Kto jest Szymonem? My sami nim jesteśmy, kiedy nie rozumiejąc dobrze sytuacji, oceniamy je wedle zewnętrznych kryteriów, nie starając się zgłębić rzeczy. My jesteśmy Szymonem, kiedy sądzimy innych, nie przebacząc im, powodując tym samym wiele cierpienia. Na przykład cierpienie, które w bardzo delikatnej formie przemawia z tej książeczki, którą podarowano mi w imieniu więźniarek, o czym już wspominałem. Pragnę przeczytać wam jedno zdanie, dobrze wyrażające ich zdumienie, że ktoś się o nie troszczy:

„Przybycie do nas w tym dniu, dla większości znanym jako dzień Wniebowzięcia, dzień wolny od pracy, wakacyjny, wzrusza nas bardzo. Wzrusza nas, gdyż rozumiemy, jak ważne było dla księdza Kardynała poświęcenie własnego czasu, uwagi, głosu temu granicznemu miejscu, być może jednemu z najbardziej dramatycznych w naszym społeczeństwie. Chcemy podarować Ci niektóre wypowiedzi, wzruszenia, smutki i radości naszego bycia kobietami i matkami więźniarkami. A także te dramatyczne chwile, od których z trudem, bólem i macierzyńskim wstydem usiłujemy się oderwać. Wszystko to powierzamy, ufne i pełne nadziei, że do naszych

błędów nie dołączają się błędy społeczne i nie spadną na dzieci dziś żyjące i na przyszłe pokolenia”.

Z tych trzech charakterystyk: kobiety, matki, więźniarki Szymon pamięta tylko o ostatniej, uważa grzesznicę za winną, i koniec, nie widzi w niej kobiety czy matki. Zupełnie nie bierze pod uwagę, że może ona mieć jakąś własną historię: że jest kobietą, może także matką, że prawdopodobnie ma jakieś problemy, obawy, że być może nikt jej nie pomógł, że mogła kiedyś przeżyć dobre, wzniosłe chwile. Nie myśli również o tym, że ta kobieta z zaangażowaniem dokonuje pewnego wysiłku. Nie! Według Szymona ta kobieta nie należy do osób, które mogą się poprawić.

Ten mąż sprawiedliwy, gdyż jest on rzeczywiście mężem sprawiedliwym, prawdziwie bez zarzutu, który wykazał się odwagą zapraszając Jezusa, właśnie teraz, w Jego obecności, niczego nie rozumie. Dramatyzm sytuacji pogłębia fakt, że liczni przyznają mu rację, a ludzie z zewnątrz, słysząc opowieści o uczcie, prawdopodobnie mówią: „Biedaczyna, przez swoją wspaniałomyślność Szymon wpędził się w spore tarapaty! Jezus z Nazaretu nie powinien był na to pozwolić!”.

Jak już powiedziałem, Szymon nie umarł, żyje w nas, żyje w naszym społeczeństwie, ze swoimi cnotami, zaletami, ze swoją godnością, ale także ze swoją nieewangeliczną ociężałością umysłu, tą samą, która później wyrazi się w jego sądzie o Jezusie: Gdyby wiedział, gdyby rzeczywiście był prorokiem!

Z niektórych katedr świeckich padają podobne słowa: Gdyby Kościół był świadomy swojej odpowiedzialności, powinien by rozumieć, co robi!

Jesteśmy Szymonem we wszystkich tych momentach, kiedy zamiast obwiniać samych siebie i zastanawiać się, gdzie popełniliśmy błąd, pochopnie sędzimy innych, także Jezusa, także i Kościół, nie odrzucając naszej sztywności, naszego przeświadczenia indywidualnego i zbiorowego, że jesteśmy w porządku.

Co widzi i co czyni kobieta? Przede wszystkim umie odpowiednio patrzeć, ma ten dar ogarniania całości, który kontemplowaliśmy u Maryi w Kanie. Tam w gwarze uczyty weselnej Maryja dostrzegła, czego ludziom brakowało; tu, pośród zgiełku przyjęcia i plotek, ta kobieta widzi, że Jezus nie został należycie uczczony. Zauważyła istotę, sedno sytuacji, ma zmysł syntezy kontemplacyjnej. Trwała zdolność do takiej kontemplacyjnej syntezy, która rodzi się z mądrości serca, jest, jak już mówiliśmy, czymś podstawowym dla pomyślności Kościoła i społeczeństwa.

Poza tym ta kobieta robi to, co może i potrafi zrobić. Angażuje w to całą siebie, przekraczając granice rozsądku. To, co czyni, jest z pewnością przesadne samo w sobie, coś takiego nie zdarzało się na innych przyjęciach, a nawet sięga granic przyzwoitości. Gdyby chodziło jej tylko o uzyskanie czegoś lub gdyby chciała się po prostu zrehabilitować, wystarczyłoby znacznie mniej: ona natomiast chce dać wyraz temu, czego w jej odczuciu nie okazano Jezusowi, a na co On zasługuje. W swoim postępowaniu daleka jest od wyrachowania. Pojęła nieograniczoność Chrystusa, dla którego nigdy nie jest się w stanie dość uczynić i dla którego nie istnieją żadne normy czy granice, ponieważ jest całością, doskonałością i wymaga całości.

Oczywiście, kobieta w swojej intuicji wiary ponownie przebiega całą swoją historię, swoje życie, swoje grzechy i błędy. Jednak w tym, co słyszała o Jezusie i Jego postępowaniu, a także w Jego spojrzeniu – prawdopodobnie nieraz spotykała Go na drodze – dostrzegła odbicie *hesed*, odbicie czulego miłosierdzia Boga i dlatego teraz chce uczcić ze wszystkich sił tę miłosierną tkliwość; jedyną, która jest zdolna zrozumieć ją i uratować.

Oto co robi i czego doświadcza: odkrywa miłosierdzie u konkretnej osoby. Doznaje ekstazy, wyjścia poza siebie,

wolności myśli, radości; nie zważa na innych, nie dba o sądy i plotki, a zatem doświadcza tego wszystkiego, co rodzi się właśnie z odkrycia miłości Jezusa.

Jezus

Jezus zachowuje spokój, nie lęka się i spokojnie ocenia – w tej kontemplacyjnej jasności, która jest normalnym udziałem Jego życia – pożytek sytuacji. I tak zauważa, że kobieta zrozumiała i powierzyła się z miłością, że przeżywa ekstazę miłosierdzia, i wówczas odmienia sytuację. Zwraca się do Szymona subtelnymi słowami, pełnymi humoru, traktując go jak nauczyciela, i zaskakuje go. Szymon pojmuję, że się totalnie pomylił, widzi, że zarozumiałość i samowystarczalność uczyniły go bardziej krótkowzrocznym od owej kobiety.

Jednak Jezus podchodzi do niego z miłością i życzliwie ukazuje mu, że nie przyznał racji mądrości, że nie okazał się dzieckiem mądrości. A następnie tłumaczy mu także, skąd się bierze przesada w postępowaniu kobiety. Nie mówi: „Tak, to prawda, ta kobieta nieco przesadza, jest zbyt egzaltowana”. Wyjaśnia jej zachowanie w sposób teologiczny, mówiąc: „Odpuszczone są jej liczne grzechy”. Jest to teologia, która docierając do głębi prawdy tej kobiety, nie usprawiedliwia i nie przysłania niczego, przywraca pełną prawdę połączoną z miłosierdziem i rehabilitacją, bez milczącej zgody czy pobłażliwości dla grzechu.

Wreszcie Jezus pochwała wiarę: „Twoja wiara cię ocaliła”. Ta kobieta przeszła bród wiary i w świetle ewangelicznego odpowiadania warto jeszcze wyraźniej to określenie uwydatnić. Bród oznacza decydujące przejście, moment, w którym człowiek podejmuje decyzję, przewyciężając dotychczasową niepewność i rzucając się, angażując w przedsięwzięcie, od którego nie zawróci, z którego się już nie wycofa. Można tu

użyć innego, bardziej ekspresywnego wyrażenia: palenie za sobą mostów.

W Biblii jednym z najsłynniejszych przykładów takiego przejścia jest chyba przeprawa przez potok Jabbok, gdzie Jakub w nocy walczy z aniołem (Rdz 32, 23–32). A także przejście Jordanu przez Jozuego, aby wkroczyć do Ziemi Obiecanej; jest to bród wiary, ponieważ ludzie przekraczając go ryzykują wszystko. Takim brodem wiary jest również samo wyruszenie Abrahama i wspinaczka na górę Moria.

Cały czas chodzi tutaj o decydujące przejścia, w których słowo „wiera” podkreśla aspekt etyczny, zaufania, a w mniejszym stopniu aspekt podstawowy, poznawczy, jak w wierze z *Credo* – której brodem jest chrzest, a następnie wyznanie wiary, jakie składa dziecko, które jest już świadome tych słów.

Przez „wiarę Abrahama” rozumiemy w istocie jego całkowite oddanie życia Bogu, a nie tylko samą wiarę, że Bóg jest wielki i opatrnościowy. Są to dwa aspekty, które muszą występować łącznie.

Inaczej mówiąc, chodzi o *ducha wiary*, o to, by chrześcijanin w swojej życiowej drodze przeniknięty był duchem oddania siebie, coraz bardziej spontanicznym, coraz pełniejszym, potwierdzanym w jego doświadczeniu historycznym – oddania całego siebie objawiającemu się Bogu.

Chodzi jeszcze o coś więcej. Przez ducha wiary można by rozumieć wiarę Adama sprzed grzechu pierworodnego. Adam z pewnością zaufał bezinteresownemu darowi Boga, wysławiał Boga i żył w pokorze człowieka, który przyznaje, że wszystko, co posiada, pochodzi od jego Stwórcy i Ojca.

Bród wiary to *duch wiary ewangelicznej*: taki jak np. u celnika, który poznaje bezinteresowność przebaczenia udzielonego grzesznikowi przez ukrzyżowanego Chrystusa. Tylko taka wiara jest wiarą dojrzałą: gdy odkupiony grzesznik żyje w postawie skruchy, żalu za grzechy, postawie błagalnej i upraszającej miłosierdzia Bożego. Niekiedy nie dość uważnie patrzymy na naszą sytuację grzeszników, którym przebaczone

i którzy wciąż na nowo potrzebują przebaczenia, i wówczas zdajemy się na wysławianie Boga, na uznanie Jego prymatu, jak to miało miejsce w przypadku Adama. Są to akty słuszne, konieczne i ważne, ale jeszcze nie zakorzenione w naszej historycznej kondycji grzeszników.

Dlatego można powiedzieć, że dziewięćdziesięciu dziewięciu sprawiedliwych, którzy czują się zwolnieni z pokuty, nie równoważy w oczach Boga wartości jednej skruszonej duszy celnika czy grzesznicy.

Taką właśnie wiarę pochwała Jezus u kobiety: *Twoja wiara cię ocaliła*. Niekiedy wydaje nam się, że zrobiliśmy już ważny krok, bo przyjęliśmy prawdę o Jezusie Chrystusie, gdy tymczasem nie weszliśmy jeszcze na ścieżkę prowadzącą do dojrzałości duchowej oraz dojrzałości wiary ewangelicznej i pokutnej. Albo przebiegliśmy ją i już o niej zapomnieliśmy. Tak jest właśnie w przypadku faryzeusza Szymona, który posiadał wiarę w znaczeniu wierzenia, ale nie praktykował wiary celnika, nie była ona dla niego ciągle obecnym tłem jego istnienia; w konsekwencji sztywniał w swoich sądach, niezdolny do właściwej oceny znaczenia ludzkich sytuacji.

Takie w praktyce zaniedbanie ducha wiary ewangelicznej może stać się powodem licznych zawziętości, nieczułości, uporu, napięć, niezrozumienia, które szkodzą życiu Kościoła i wspólnot; zastygają one bowiem w sztywności sądów, uważając ją za konieczność w obronie przed rozprzężeniem.

Bród wiary kształtuje w nas właściwą postawę, która mieści się pomiędzy surowością Szymona a brakiem wymagań u kogoś, kto niczym się nie przejmuje, godząc się na przeciętność. Nie jest prawdą, że trzeba dokonywać wyboru jedynie między surowością a ustępliwością; obydwie te postawy są niesłuszne. Czy to ustępliwość, która jakby zgadza się na słowa: „nie przejmujemy się, spróbujmy być ludzcy, nie należy już wymagać pewnych rzeczy, czasy się zmieniły...”, czy to rygoryzm i taka stanowczość, która mówi: „absolutnie należy przestrzegać tradycji, biada nam, jeśli zaniechamy tego czy tamtego” itd.

Przesada bądź niedostatek nie pozwalają rozwinąć się autentycznemu życiu zakonnemu, a w konsekwencji nie mogą rozwinąć się prawdziwy humanizm i prawdziwa kobiecość, pozbawiając tym samym społeczeństwo tego orędzia zbawienia, jakie winno nieść z sobą życie zakonne.

Wiara, którą Jezus pochwała u grzesznicy, uratowała ją jako kobietę, uratowała jej godność, ludzkość, religijność i prawdę.

Prośmy więc Maryję, aby dała nam wiarę, jakiej Ona sama była przykładem w swojej ludzkiej boleści u stóp krzyża i która pozwoliła jej nie buntować się przeciwko śmierci Syna, ale przyjąć ją i przeżyć w całej prawdzie.

Prośmy Ją, aby uprosiła dla nas u Syna dar sądenia w prawdzie, przynajmniej w najbardziej podstawowym jego przejawie, aby udzieliła go również wszystkim zgromadzeniom zakonnym, także męskim, duchowieństwu, wszystkim ruchom aktywnym w Kościele, wszystkim osobom poświęconym służbie Bogu.

DUCH BŁAGANIA I DUCH SKRUCHY

Matka synów Zebedeusza – Mt 20, 20–23

W modlitwie wprowadzającej posłużmy się fragmentem z proroka Zachariasza:

„Na dom Dawida i na mieszkańców Jeruzalem wyleję Ducha pobożności. Będą patrzeć na tego, którego przebili, i boleć będą nad nim, jak się boleje nad jedynakiem, i płakać będą nad nim, jak się płacze nad pierworodnym” (Zch 12, 10).

W świetle tego proroctwa odczytamy niektóre urywki z Ewangelii św. Jana na temat śmierci Jezusa:

„... Jezus rzekł: »Wykonało się!«. I skłoniwszy głowę oddał ducha.

Ponieważ był to dzień Przygotowania, aby zatem ciała nie pozostały na krzyżu w szabat – ów bowiem dzień szabat był wielkim Świętem – Żydzi prosili Pilata, aby ukrzyżowanym połamano golenie i usunięto ich ciała. Przyszli więc żołnierze i połamali golenie tak pierwszemu, jak i drugiemu, którzy z Nim byli ukrzyżowani. Lecz kiedy podeszli do Jezusa i zobaczyli, że już umarł, nie łamali Mu goleni, tylko jeden z żołnierzy włócznią przebił Mu bok i natychmiast wypłynęła krew i woda... Stało się to bowiem, aby się wypełniło Pismo: Kość Jego nie będzie łamana. I znowu na innym miejscu mówi Pismo: Będą patrzeć na Tego, którego przebili” (J 19, 30–37).

O Maryjo, Ty byłaś świadkiem wszystkich tych wydarzeń, wprowadź nas w tajemnicę krzyża, wlej w nasze serce ducha łaski i modlitwy, ducha błagania i skruchy, jakim Pan pragnie obdarzyć swoje miasto w ostatnich czasach. Chcemy prosić Cię słowami dawnej

modlitwy: Pragnę płakać w twym pobliżu, cierpiąc z tym, co zmarł na krzyżu, po mojego życia kres. Spraw, abym płakał wraz z Tobą błagalnymi łzami, które nigdy nie ustaną, ciągle zraszając duszę, zmiekczejac zatwardziane serce.

O taką właśnie łaskę prosimy: o nie ustającego ducha błagania i skruchy, który w pobożnym życiu jest wyrazem ducha wiary ewangelicznej. Prosimy o nią za pośrednictwem św. Karola, który tak często przedstawiany jest w akcie żalu przy krzyżu męki Pańskiej.

Przed przystąpieniem do rozważania na temat ducha wiary pokutującej możemy postawić sobie pytanie, czy Maryja będąc wolną od grzechu pierworodnego, doświadczyła również tego ducha. Z całą pewnością odpowiadamy, że tak, chociaż przeżyła go w sposób szczególny. Aby to zrozumieć, przypomnijmy, co mówiła o sobie św. Teresa od Dzieciątka Jezus:

„Można by sądzić, że dlatego mam taką ufność w Bogu, że nie zgrzeszyłam (mówi oczywiście o grzechach uczynkowych, a nie o grzechu pierworodnym). Powiedz wyraźnie Matko, że choćbym popełniła wszystkie możliwe zbrodnie, miałabym zawsze taką samą ufność; czuję, że całe to morze grzechów byłoby tylko kroplą wody rzuconą w płonący piec” (*Żółty zeszyt. Ostatnie rozmowy*, 11 lipca, Warszawa 1977, s. 72).

Właśnie tak rozumiemy ducha błagania i ducha pokory, i taka właśnie postawa pozwalała świętej Teresie odczuwać, że „zasiada przy stole grzeszników”, przyjmując odpowiedzialność za wszystkie grzechy swego ludu, zanosząc błagania i ofiarując samą siebie za tę rzeczywistość. Również Maryja w swojej czystości czuła się odkupiona przez krew swojego Syna, a zatem może nam Ona towarzyszyć w naszej drodze.

Matka synów Zebedeusza

Scena ewangeliczna, którą wybrałem w celu pogłębienia ducha wiary pokutnej, ukazuje nam znamieny, a często nie

zauważany epizod: prośbę synów Zebedeusza. Lekturę tego fragmentu należy zacząć od kontekstu bezpośrednio go poprzedzającego, w którym zawarta jest trzecia zapowiedź Męki.

„...Jezus wziął osobno Dwunastu i w drodze rzekł do nich: »Oto idziemy do Jerozolimy: tam Syn Człowieczy zostanie wydany arcykapłanom i uczonym w Piśmie. Oni skażą Go na śmierć i wydadzą Go poganom na wyszydzenie, ubiczowanie i ukrzyżowanie; a trzeciego dnia zmartwychwstanie.

Wtedy podeszła do Niego matka synów Zebedeusza ze swoimi synami, i oddając Mu pokłon, o coś Go prosiła. On ją zapytał: »Czego pragniesz?«. Rzekła Mu: »Powiedz, żeby ci dwaj moi synowie zasiedli w Twoim królestwie jeden po prawej, a drugi po lewej stronie«. Odpowiadając Jezus rzekł: »Nie wiecie, o co prosicie. Czy możecie pić kielich, który Ja mam pić?«. Odpowiedzieli Mu: »Możemy«. On rzekł do nich: »Kielich Mój pić będziecie. Nie do mnie jednak należy dać miejsce po mojej stronie prawej czy lewej, ale (dostanie się ono) tym, dla których mój Ojciec je przygotował«.

Gdy dziesięciu (pozostałych) to usłyszało, oburzyli się na tych dwóch braci. A Jezus przywołał ich do siebie i rzekł: »Wiecie, że władcy narodów uciskają je, a wielcy dają im odczuć swą władzę. Nie tak będzie u was. Lecz kto by między wami chciał stać się wielkim, niech będzie waszym sługą. A kto by chciał być pierwszym, niech będzie niewolnikiem waszym, na wzór Syna Człowieczego, który nie przyszedł, aby Mu służyło, lecz aby służyć i dać swoje życie na okup za wielu«” (Mt 20, 17–28).

Zapowiedź męki, która poprzedza prośbę matki, uwydatnia jej niestosowność: przecież Jezus mówił o swej śmierci. Owa niestosowność jest dodatkowo podkreślona przez fakt oburzenia apostołów i komentarz Jezusa.

Ten fragment odnosi się do wszystkich należących do Kościoła, ale w szczególny sposób dotyczy tych, którzy

zastanawiają się nad swoją odpowiedzialnością wobec społeczeństwa; na początku powiedziałem do was: ratujmy społeczeństwo! Dla was oznacza to możliwość przyjęcia na siebie pełnej odpowiedzialności za ludzkość. W rzeczywistości jednak w tym zaangażowaniu tkwi zbyt wiele zasadzek, pułapek czy niebezpieczeństwo maskowania się: rozumiemy je bowiem jako przywilej lub nową możliwość wybicia się! Dlatego tak ważna jest nasza refleksja na temat ducha modlitwy i ducha skruchy. Jak zwykle, aby wprowadzić was w medytację i kontemplację osobistą, zwróć uwagę na niektóre aspekty tekstu.

Matka

Na początku opowiadania pojawia się „matka synów Zebedeusza” – określenie dość dziwne. Można było po prostu powiedzieć: matka Jakuba i Jana. Prawdopodobnie określenie to bierze się stąd, że od początku znani byli oni jako synowie Zebedeusza i że byli uczniami Jezusa od pierwszej chwili:

„Gdy (Jezus) przechodził obok Jeziora Galilejskiego, ujrzał dwóch braci, Szymona, zwanego Piotrem, i brata jego, Andrzeja, jak zarzucali sieć... (ich ojciec nie został tu wymieniony – być może dlatego, że już nie żył, albo że nie był rybakiem). Oni natychmiast zostawili sieci i poszli za Nim.

A gdy poszedł stamtąd dalej, ujrzał innych dwóch braci, Jakuba, syna Zebedeusza, i brata jego, Jana, jak z ojcem swym Zebedeuszem naprawiali w łodzi swe sieci. Ich też powołał. A oni natychmiast zostawili łódź i ojca i poszli za Nim” (Mt 4, 18–22).

Mamy tu do czynienia z rodziną, w której widoczny jest autorytet ojca, naturalna więc wydaje się wzmianka o tym, który będąc prawdopodobnie patriarchą o silnych cechach, wywierał również psychologiczny wpływ na życie synów.

Zauważmy, że w paralelnym fragmencie św. Marka (10, 32–40) matka nie występuje. Egzegeci zastanawiali się, czy

Marek skrócił w ten sposób opis (osobiście podtrzymuję tę wersję), czy może Mateusz chciał wyjaśnić scenę, ukazując, iż prawdziwą jej bohaterką jest matka. Trudny jest wybór pomiędzy tymi dwiema wersjami. Według mnie lepsza jest wersja Mateusza, gdyż lepiej ukazuje psychologię obu braci.

Matka jest postacią ważną w opowiadaniu ewangelicznym. Jako mieszkanka Kafarnaum i matka Jakuba i Jana z pewnością była bardzo bliska rodzinie Jezusa i dobrze знаła Maryję, dlatego też Mateusz przypomni nam, że była obecna nawet u stóp krzyża. Jest więc związana z historią Jezusa, jest jedną z kobiet, które z własnych środków wspomagały Go w drodze. Zaangażowała się w działalność apostołską Mistrza, wysłuchując wielu Jego kazań. Należy do grupy najwierniejszych i jej prośba z pewnością jest poważna.

Moglibyśmy zapytać ją: skąd przyszło ci do głowy, by tak oficjalnie prosić? Gest pokłonu wskazuje na oficjalność prośby. Prośby, nad którą zapewne zastanawiała się dniami i nocami.

Matka odpowiedziałaby nam, iż w gruncie rzeczy ona wyraża to, co wciąż w nas nurtuje. Tak jak ona poświęciliśmy wszystko, a jednak wciąż zachowujemy się tak, jakbyśmy spodziewali się jakiegoś wynagrodzenia, jakiejś rekompensaty.

Być może matka nie widząc, by realizowały się oczekiwania pokładane w synach, pomyślała: wszystko się zmienia, a może moi synowie są z tego wyłączeni; inni się zjednoczą, wyprzedzą ich. Jest to rodzaj naszego instynktu, który sprawia, że nawet gdy tego nie wyrażamy, czegoś oczekujemy, do czegoś zmierzamy, na coś liczymy. Coś pięknego, coś wielkiego na pewno się zdarzy! A kiedy odkrywamy, że to coś, na co czekaliśmy, czego spodziewaliśmy się, nie spełnia się, sądzymy, że popełniliśmy jakiś błąd, że nie zrobiliśmy wszystkiego, co powinniśmy byli zrobić. Ileż tego rodzaju obaw trawi i draży nasze życie w chwilach, kiedy najmniej się tego spodziewamy. Czasem życzliwe nam osoby mówią: „Jak to się dzieje, że inni robią karierę, a ty nie, dlaczego stoisz w miejscu, nic nie robisz w tym kierunku?”. I tego typu wypowiedzi burzą nasz spokój

do tego stopnia, iż zaczynamy wierzyć, że to przyjaciele nasi mają rację.

Wszystko to jest przejawem światowości w nas, która czasem przybiera najsubtelniejsze formy; na zasadzie kontrastu rozumiemy więc wagę milczenia Maryi, w życiu której, po doznaniu wielkich blasków w chwili zwiastowania oraz przy narodzinach Jezusa, przez lata, a nawet dziesiątki lat nic wielkiego się nie wydarzy.

Maryja, która zachowywała w swoim sercu tajemnice i słowa „początku”, miała prawo oczekiwać jakiegoś wynagrodzenia, uhonorowania. Jedynym wydarzeniem, które przerwie tę ciszę Maryi, będzie ucieczka Jezusa w wieku dwunastu lat, a więc wydarzenie wprowadzające niepokój. Im bardziej pograżamy się w złudzeniach, iluzjach, że coś się wydarzy, coś, co zrekompensuje nasze poświęcenie, tym bardziej podziwiamy heroizm Maryi, która nic nie mówi, niczego nie komentuje, przyjmuje wszystko, jest pewna Jezusa.

Matka synów Zebedeusza nie ma takiego zaufania jak Maryja i oczekuje czegoś, jakiegoś zapewnienia ze strony Jezusa, jakiejś obietnicy. Poza tym nie prosi dla siebie, mimo że to ona sama zaangażowała się, by pójść za Mistrzem. Prosi w imieniu swoich synów, którzy tak wiele zrobili, którzy całkowicie się zaangażowali; ogarnia ją obawa, że mogą być teraz niedocenieni. Podobnie my: czasami modlimy się za innych, za przyjaciół, którzy trudzili się, pracowali dla Kościoła i służyli mu, chcielibyśmy więc, aby może uzyskali jakiś urząd, np. biskupa. A tymczasem nic takiego się nie zdarza.

Próbujemy poznać prawdę tych uczuć, towarzyszących naszemu doświadczeniu każdego dnia, cechujących nasze wspólnoty zakonne, wszystkie organizacje: nasze działanie społeczne, wspólnotowe nie jest pozbawione tego pragnienia wdzięczności czy wynagrodzenia.

Jezus nie gani ani matki, ani synów – rozumie ich, a nawet trochę sobie z nich żartuje: „Nie wiecie, o co prosicie”. Nie gniewa się, w odróżnieniu od pozostałych apostołów, którzy opierając się na tych samych przesłankach, co dwaj bracia, sami czują się z kolei pominięci.

Synowie, o których tu mowa, to Jakub i Jan. Jakub zostanie pierwszym apostołem męczennikiem, pierwszym z Dwunastu, który odda życie za wiarę. Jego śmierć opisana jest w dwunastym rozdziale Dziejów Apostolskich. Jan zostanie ewangelistą, apostołem prostoty ducha, czystości, prawdy, przejrzystości.

A jednak ci szlachetni bracia, zawsze gotowi do poświęceń, okazują się – jak wynika z rozpatrywanego fragmentu – podatni na pułapki codzienności. Porzucili sieci – być może ojciec nawet im to miał za złe, skarcił ich – zdobyli się na heroiczny gest zostawienia domu, ale sieci powracają.

Zwróćmy uwagę na subtelność psychologiczną, z jaką jest ukazany ich stosunek do poczyńań matki. Zgadza się z jej prośbą; pomimo iż zdają sobie sprawę z niestosowności prośby, nie powstrzymują matki. Ich sposób myślenia przyjmuje ten sam schemat co myślenie matki: „Nie chodzi oczywiście o nas, ale o nią, o naszego ojca, tyle dla nas poświęcili, należy im się jakieś wynagrodzenie; dobrze byłoby, żeby mogli pokazać swoim przyjaciołom i krewnym, że ich trud nie poszedł na marne, że ich synowie do czegoś »doszli«, że osiągnęli dobrą pozycję”.

Bohaterskiego Jakuba i przejrzystego, refleksyjnego Jana ogarnia lekki cień małostkowości. W ich pragnieniu jako takim nie ma nic złego, nie proszą o coś złego; chcą jedynie być blisko Jezusa, a jednak draży ich mały robaczek światowości. Pomimo że naśladują Jezusa, wraz z Nim ponosząc ofiary, ich serca na powrót stwardniały. Mamy tu do czynienia z jakże często przypominanym w ewangeljach zjawiskiem: zatwardziałości serca, serca, które jakby nieuchronnie staje się nieczule;

serca, które nie potrafi już stanąć na wysokości zadania, i nawet wtedy, kiedy wydaje się, że już wróciło do normy, ponownie się pogrąża. Oczywiście nie jest to zatwardziałość serca bezbożnika, który mówi: „Boga nie ma, życie wieczne jest piękną bajką, wymysłem, dlatego lepiej bawić się i postępować, jak nam się podoba!”. Jest to *zatwardziałość serc*, jaka występuje u apostołów, a którą Jezus tak często u nich gani: „Twardego karku i opornych serc i uszu!”. Jeszcze nie pojmujecie i nie rozumiecie, tak otępiały macie umysł? Macie oczy, a nie widzicie, macie uszy, a nie słyszycie. Czy nie rozumiecie?

Ileż razy Mistrz zwracał się tymi słowami do apostołów, do tych wielkich świętych, których czcimy dziś jako filary Kościoła! Również oni, tak jak i my, byli podatni na tę postępującą, wtórną jałowość, oziębłość serca: pracujemy, krzątamy się, działamy, poświęcamy się, ale pozostaje w nas ciągle ten osad światowości, przybierający charakter rodzinny, kulturowy, narodowy.

Nikt z nas nie może wyzbyć się całkowicie swojej więzi z rodziną, oddzielić się od mentalności środowiska. Co więcej, im jesteśmy starsi, tym łatwiej powracamy do naszego sposobu rozumowania, do naszych ocen, jakie kształtowało w nas nasze pierwsze środowisko rodzinne.

Dopóki jesteśmy młodzi, czujemy się oderwani, z zapalem i entuzjazmem angażujemy się w cokolwiek. Później powoli, stopniowo, wraz ze zmęczeniem narastają wspomnienia, pojawiają się znów dawne uczucia, troski, niepokoje o tę czy inną bliską osobę.

Często w takiej sytuacji trudno o trzeźwe spojrzenie, gdyż należy zachować miłość, a potrzeby materialne naszych bliskich są rzeczywiste; jednak po tych kielkującymi formami nepotyzmu, które na nowo pojawiają się w starszym wieku, kryje się zawsze pewne usiłowanie odebrania sobie tego, co z taką radością, entuzjazmem wcześniej daliśmy. Spodziewaliśmy się kto wie jakiej nagrody, jakiegoś awansu, a widząc, że

nic takiego nie nastąpiło, próbujemy przynajmniej pomóc rodzinie, siostrzeńcom, bratankom itd.

Powinniśmy zdecydowanie wystrzegać się tej zatwardziałości serca, która przychodzi z wiekiem, i także nie powinniśmy się dziwić, że Jezus cierpliwie nas z niej leczy.

Cierpliwość Jezusa w przeczytanym fragmencie jest rzeczywiście godna podziwu: przywołuje do siebie Dwunastu uczniów i dając im siebie za przykład, jako Ten, który przyszedł, aby służyć i poświęcić swoje życie za innych, ponownie włącza apostołów w rytm swojego serca. To jest właśnie wskazówka dla nas, co powinniśmy czynić: winniśmy w duchu modlitwy i w duchu pokuty, takim, jaki ożywiał św. Karola, wraz z Maryją, włączać się w rytm serca Ukrzyżowanego.

Jedynie w ten sposób możemy zaradzić sklerozie serca i umysłu, która wciąż, nieuchronnie przejawia się u poszczególnych osób, we wspólnotach, w grupach czy instytucjach. Nikt nie może obronić się sam przed tą rdzą trawiącą serca; konieczny jest do tego duch wiary pokutnej, wciąż ponawiany płacz, który – by tak rzec – zapewnia wilgoć glebie ducha, rekompensując ociążałość naszych przyzwyczajęń, tradycji, związków rodzinnych, pokrewieństw, przyjaźni, nie w tym, co jest w nich piękne i twórcze, lecz w tym, w czym nas ograniczają, hamują.

Możemy odnieść również i do nas słowa św. Pawła skierowane do Galatów:

„O, nierozumni Galaci! Któż was urzekł, was, przed których oczami nakreślono obraz Jezusa Chrystusa ukrzyżowanego? Tego jednego chciałbym się od was dowiedzieć, czy Ducha otrzymaliście na skutek wypełniania Prawa za pomocą uczynków, czy też stąd, że daliście posłuch wierze? Czyż jesteście aż tak nierozumni, że zacząwszy duchem, chcecie teraz kończyć ciałem? Czyż tak wielkich rzeczy doznaliście na próżno?” (Ga 3, 1–4).

Nasuwa się ciekawe spostrzeżenie: zatwardziałość serca napiętnowana przez św. Pawła staje się jednocześnie pewną formą skostnienia umysłu; ociążałość serca może przybrać formę gorliwości, zapалу dla pewnego legalizmu czy pewnej sztywności, surowości, która maskuje brak ducha pokory. Tym można wytłumaczyć pewne sytuacje i rzeczywistości, jakie niekiedy powstają w Kościele.

Weźmy na przykład sprzeciw wobec postanowień II Soboru Watykańskiego – cały ruch skupiony wokół osoby biskupa Lefevre'a, który pozornie kładzie nacisk na zachowanie karności, a w gruncie rzeczy chodzi o znalezienie schronienia w dawnych, przebrzmiałych tradycjach, we wspomnieniach, w tym wszystkim, co otrzymało się od przodków, a od czego człowiek lęka się odejść.

Tego rodzaju zatwardziałość serc daje o sobie znać również w historii Kościoła i tym samym wyjaśnia oscylację pomiędzy – zwracałem na to uwagę w medytacji na temat grzesznicy w domu Szymona – zewnętrzną surowością a uległością, za czym kryje się w rzeczywistości serce nie w pełni nawrócone, nie do końca pokorne i skruszone.

Troska o prawo, ortodoksję, o karność może skrywać pragnienie powrotu do pewnych ludzkich przyzwyczajzeń i tradycji, dlatego, że dają nam one poczucie bezpieczeństwa, a nie dlatego, że pobudzają nas do całkowitego powierzenia siebie Bogu.

Podobnie też ustepliwość, wyrozumiałość, poczciwość występujące pod hasłem sztandarowym potrzeby bycia ludzkimi, potrzeby uwzględnienia psychologii – mogą skrywać rezygnację z dążenia do tej doskonałości, do której naprawdę winniśmy dążyć.

Sposobem na uniknięcie zarzutu Pawła pod adresem Galatów: „Bieglście tak wspaniale! Kto przeszkodził wam trwać przy prawdzie?” (Ga 5, 7) – jest skrucha, przejście do wiary ewangelicznej i pokutującej, bez której niemożliwy jest

rozwój życia duchowego tak poszczególnych ludzi, jak i wspólnot.

Kryzys w rozwoju życia duchowego

Kryzys w rozwoju życia duchowego jest zasadniczą przyczyną każdego innego kryzysu w życiu zakonnym. Z fenomenologicznego punktu widzenia chodzi tu o kryzys, który następuje po okresach szczególnej żarliwości, gdy nie potrafimy sprostać długim chwilom milczenia, przez które przeszła Maryja. Po pierwszym zaangażowaniu, kiedy to nasza uwaga, bardziej niż na miłosierdzie Boże, skierowana była na radość znalezienia się w grupie i na dynamikę organizacyjną – następuje stagnacja. Zauważamy, że wciąż jeszcze pozostało w nas tyle wad, że tkwi w nas ciągle korzeń miłości własnej, i zrzucamy winę na innych, na środowisko, które nie pomaga, na wspólnotę, która jest zbyt opieszala, na teologię, która nie jest aktualizowana, na niedostatek kultury, na zbyt małe zainteresowanie grupy osobami starszymi, biednymi czy nieprzystosowanymi itp.

W przeciwnym wypadku, jeśli nie obarczamy winą innych, sami czujemy się przygnębieni tym, że nie potrafimy się doskonalić, że na nic zdały się rekolekcje, kazania, kapituły generalne, propozycje odnowy. Mówi się sobie wtedy: nie powinnam była się łudzić, zbyt dużo marzyłam, dałam się zaślepić lekturze żywotów świętych (zresztą, kto wie, czy rzeczywiście byli tacy, jak ich opisują?) – doskonałość to nie dla mnie, lepiej być większą realistką i na tym poprzestać. A nawet można posunąć się dalej, mówiąc: Gdybym wiedziała, że to się tak skończy, że nie zrealizuję swoich zdolności, umiejętności, nie wykorzystam swoich talentów, prawdopodobnie nie angażowałabym się w to, a w każdym razie dziś, z perspektywy własnego doświadczenia, nie mogłabym polecać innym mojego wyboru.

Takie są przejawy i skutki spowodowane kryzysem życia duchowego. Są też jeszcze inne, groźniejsze, jak np. sytuacja, kiedy racjonalizuje się, usprawiedliwia postawę przeciętności, przekształcając ją w kult spontaniczności lub, przeciwnie, duchowej agresji. Jeszcze bardziej niebezpieczna i szkodliwa jest rezygnacja, będąca skutkiem wadliwego sumienia: Bóg kocha mnie ze wszystkimi moimi grzechami, mogę więc spokojnie z nimi żyć; Pan nie potrzebuje, abym się zmienił, i tak mnie zbawi. Dawniej takie podejście nazywało się pelagianizmem czy luteranizmem.

Dziś już herezje nie są tak modne i nie zawsze kryzys w rozwoju życia duchowego doprowadzi nas w rezultacie do popadnięcia w herezję, mimo to z pewnością prowadzi w końcu do jednego: w każdej z tych form wynaturzeń modlitwa przestaje być traktowana serio. Staje się bądź to doskonałym, materialnym wypełnieniem niektórych praktyk bądź czymś mglistym i nieokreślonym, co wyraża się następująco: Nie ma potrzeby chodzić do kościoła, Boga odnajduję przecież w przyrodzie, w siostrach i braciach, a więc ciągle tkwię w stanie modlitwy.

Jakie mamy wyjście z tej sytuacji? Zaakceptować z pokorą, ufnością tajemnicze, długie milczenie Boga; zgodzić się na przejście przez Morze Czerwone, zaprzestając krążeń wokół niego w poszukiwaniu innego wyjścia czy innej drogi; musimy być pewni Jezusa, naszego łaskawego, pełnego miłosierdzia wodza, obdarzającego wolnością, który kocha nas po to, aby nas udoskonalić, a nie po to, byśmy pozostali tacy, jakimi jesteśmy.

Jezus nie przeraża się, gdy po tylu latach tkwimy wciąż w tym samym miejscu, pragnie jednak, abyśmy byli gotowi zacząć dziś tak, jakby to był pierwszy dzień, jakbyśmy właśnie dziś usłyszeli zwiastowanie anielskie. Nasze zaufanie do Jezusa znajduje wyraz w żalu za grzechy, który wciąż odnawia cud chrztu. Miłosierdzie Boże przebacza siedemdziesiąt siedem razy i nie dziwi Go matka synów Zebedeusza ani Piotr

w swoim zaparciu. Ale to Miłosierdzie nie idzie na żaden kompromis z naszymi wadami czy grzechami. Na tym polega droga biegnąca środkiem, takie też rozwiązanie daje asceza czy katolicka duchowość, która opiera się na wierze w moc przebaczenia oraz w odnawiającą moc łaski. A zatem życie duchowe jest dynamiczne i w tym dynamizmie uświęca się.

Po trzydziestu latach wydaje nam się, że wciąż mamy te same wady, co na początku; w rzeczywistości jesteśmy innymi osobami, ukształtowanymi przez wiarę, miłość, pokorę, codzienną pokutę, pomimo iż temperament pozostawia jeszcze wiele do życzenia w niektórych przejawach zewnętrznych. Innymi słowy, droga pokuty – oraz sakrament pokuty – chroni nas przed wszelkimi sposobami maskowania się oraz prowadzi poprzez pośrednictwo Ducha Świętego do całkowitego i doskonałego oddania się Ojcu w Chrystusie.

To prawda, że również sakrament pokuty może być niewłaściwie stosowany – dlatego często rezygnujemy z niego – ale upór, z jakim będziemy usiłowali z niego korzystać, pomimo milczenia Boga, z pewnością zachowa nas przed zatwardziałością serc, ożywiając nowotestamentalną cnotę czujności, dzięki której ten, kto ją posiada, nigdy nie upada na duchu, nie gubi się, nie zniechęca.

Maryjo, pomóż nam wejść w Twoje czujne i pełne pokory milczenie, i abyśmy przeżywali naszą pokutę jako moment zanurzenia w miłosiernej krwi Jezusa ukrzyżowanego, naszej sprawiedliwości.

SPOTKANIE MARYI Z ELŻBIETĄ

Homilia na temat: Iz 9, 2-4. 6-7; Łk 1, 39-47

Królowanie Maryi, które Kościół czci w liturgii poświęconej temu świętu, związane jest ściśle z królowaniem Jezusa. Wszystko, co Maryja posiada i co wyraża, związane jest z Chrystusem; Słowa z pierwszego czytania w istocie przypominają te, które wypowiedział Anioł w chwili Zwiastowania, stawiając w centrum uwagi „Dziecię, (które) nam się narodziło... na tronie Dawida i nad Jego królestwem”.

Maryja Królowa jest symbolem kobiety, która osiągnęła pełnię swej realizacji, szczyt posłannictwa każdej kobiety w społeczeństwie, w historii. Przyglądając się Jej jako Królowej, możemy zrozumieć powołanie każdej kobiety do przebycia tej samej drogi. Ważne jest zatem, abyśmy uchwycili niektóre aspekty królewskiej godności Maryi, te na które wskazują teksty liturgiczne.

Pierwsze czytanie mówi o radości i o weselu: „Pomnożyłeś radość, zwiększyłeś wesele”. Właśnie to pomnożenie radości i wesela sprawia, że człowieczeństwo i historia godne są przeżycia. Radość i wesele towarzyszą wyjątkowym okolicznościom: raz w roku, kiedy zbiera się plony w czasie żniw; raz na kilka lat, kiedy się dzieli zdobycz wojenną.

W takich przypadkach nawet mężczyźni, którzy zazwyczaj nie są skłonni do wychodzenia poza granice pewnej powściągliwości w komunikowaniu się – przeżywają radość, wesela się: stąd np. taniec żniwiarzy z okazji obfitych plonów czy śpiew żołnierzy przy podziale łupu.

Królewskość Maryi polega na wnoszeniu w życie ludzkie tego „czegoś więcej”, czegoś niezbędnego, co jest obfitością radości, komunikatywności, zadowolenia, rozmachem natury i serca. Królewskość oznacza ukoronowanie, ozdobienie koroną wszystkich rzeczy koniecznych, obowiązkowych, które bez niej pozostają nijakie, bezbarwne, niewyraźne, banalne, mało pociągające.

To nieodzowne „coś więcej” widoczne jest przede wszystkim w sferze stosunków międzyludzkich, w której łatwiej daje się uchwycić znamienne obecność czy brak ludzkiego podejścia. Zastanawiam się nad tym, jak bardzo brakuje w dzisiejszym społeczeństwie umiejętności porozumienia i jak wiele frustracji powoduje ta sytuacja!

Myszę o jakże licznych rodzinach, w których nie ma prawdziwej przyjaźni, serdecznej rozmowy, porozumienia.

Z drugiej strony, prawdziwe odkrycie się przed drugą osobą nie jest łatwe, konieczna jest dyskrecja, takt i poszanowanie tajemnicy partnera. W latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, pod wpływem nurtu psychologii, który dotarł zza oceanu, nastąpił swoisty przepływ w międzyludzkiej komunikacji – w postaci tekstów pisanych, analiz, doświadczeń. Pojawiły się nowe techniki terapeutyczne, niekiedy pożyteczne, skuteczne, gdyż oparte na wartościowych badaniach psychologów. Pamiętam, że sam uczestniczyłem w jednej z takich grup komunikacyjnych i że wyniosłem z tego pewne korzyści. Przebywanie w grupie osób przez dwanaście dni od rana do wieczora z pewnością wyzwala mechanizmy „komunikacji grupowej” i usprawnia do uchwycenia „dynamiki grupy”.

W całym tym entuzjazmie dla komunikacji psychologicznej i terapeutycznej tkwiło jednak nieporozumienie, prawdopodobnie nie dostrzeżone. Mianowicie: osoba ludzka z natury swej nie daje się wyrazić w słowach, ponieważ jest jedyną i niepowtarzalną, ponieważ nosi w sobie tajemnicę nieprzekazywalną, której nie można wydrzeć siłą, można ją jedynie przyjąć z miłością.

Drugie czytanie ukazuje nam Maryję jako królową między-
ludzkich więzi, porozumienia i otwartości.

Tajemnica Nawiedzenia jest bowiem tajemnicą wzajemnego porozumienia i więzi dwóch kobiet różniących się wiekiem, środowiskiem, cechami charakteru; jest też tajemnicą wzajemnego pełnego szacunku przyjęcia, otwartości.

Widzimy dwie kobiety, z których każda nosi w sobie trudną do przekazania tajemnicę, najgłębszą i najintymniejszą, jakiej może doświadczyć kobieta w sferze życia fizycznego: oczekiwanie dziecka.

Dla Elżbiety podzielenie się taką wiadomością jest trudne ze względu na jej wiek, na nowość i niezwykłość sytuacji.

Maryi zaś trudność sprawia fakt, że nie może, nie potrafi nikomu wyjaśnić słów anioła. O ile Elżbieta przez kilka miesięcy żyła ukryta, w pewnym osamotnieniu, jak dowiadujemy się z opisu ewangelicznego, to samotność Maryi była nieskończenie większa. Być może jest to jedna z przyczyn, dla której Maryja idzie „z pośpiechem”: chce znaleźć się w towarzystwie kogoś, kto ją zrozumie, a ze słów anioła wyczuła, że najodpowiedniejszą osobą jest Elżbieta. Wybrała się „w pośpiechu”, aby uzyskać pomoc. Nie kieruje się tylko i wyłącznie pragnieniem udzielenia pomocy swej kuzynce. Warto zwrócić uwagę na tę gotowość Maryi, by przyjąć pomoc.

Kiedy obie kobiety spotykają się, Maryja króluje pozdrawiając jako pierwsza, jest królową w swej umiejętności oddawania hołdu drugiej osobie, jej królewskość wynika z troskliwego i uprzedzającego zainteresowania, jakie winno cechować każdą kobietę. Jej życzliwość wywołuje niezwykły skutek: „Gdy Elżbieta usłyszała pozdrowienie Maryi, poruszyło się dzieciątko w jej łonie”. Elżbieta czuje się do głębi zrozumiana, i to, co dotychczas napawało ją lękiem, staje się radością. Zaczyna rozumieć samą siebie, swą wielką radość z dziecka, jednocześnie przeczuwa także tajemnicę, której Maryja jej nie wyjawiała: „Błogosławiona jesteś między niewiastami i błogosławiony jest owoc Twojego łona”.

Logicznie biorąc, powinna była powiedzieć: jestem pełna radości. Ona natomiast nie mówi o sobie samej, mówi do Maryi i o Maryi, i to z taką pewnością, jakby mówiła o sobie samej: błogosławiona jesteś między niewiastami.

Możemy łatwo sobie wyobrazić radość i zaskoczenie Maryi, która bez wypowiedzenia jednego słowa czuje, że została zrozumiana, przyjęta, rozpoznana, obdarzona miłością i czcią.

„A skądże mi to, że Matka mojego Pana przychodzi do mnie?”. Elżbieta już wie wszystko, wszystko rozumiała. Czyżby doznała jakiegoś objawienia? Nie, po prostu otworzyła się na pozdrowienie Maryi i poprzez łaskę tego pozdrowienia rozumiała Ją i przyjęła w pełni radości: „Błogosławiona jesteś, któraś uwierzyła, że spełnią się słowa powiedziane Ci od Pana”.

Maryja jest błogosławiona za to, co w szczególny sposób było Jej decyzją: zawierzyła Słowu, całą siebie wyraziła w *fiat*, zawarła w tym całe swoje życie, przeszła bród wiary, całkowicie oddając się temu nowemu sposobowi istnienia i życia. Jej wiara, trudna do przekazania innym, teraz została doceniona.

Tajemnica Nawiedzenia mówi nam więc o wzajemnym przenikaniu się dusz, o wzajemnym, jak najbardziej taktownym, umiejętnym przyjęciu, którego nie zakłóca wielość słów, które nie potrzebuje wylewnej przemowy, lecz wystarcza mu zwykle światełko, płomień rozświetlający noc, pozwalający na doskonałe porozumienie i uznanie.

Na tym polegają królewskie postawy Maryi, które wnosi w historię i ludzkość, zwłaszcza poprzez tych, którzy we wszystkim Ją naśladują, poświęcając swoje życie zawierzeniu Słowu. Również i Was Maryja obdarza łaską bycia królowymi, łaską głoszenia w ten sposób zbawienia w historii.

O Maryjo, spraw, abyśmy Cię poznali i rozumieli, abyśmy przyjęli Twoje zbawcze i królewskie działanie! Pozwól nam być królowymi porozumienia w Kościele: tej uważnej, życzliwej, taktownej, szczerzej i autentycznej komunikacji między osobami, która jest

chyba największym, najbardziej dominującym pragnieniem serca współczesnej kobiety, współczesnego mężczyzny. Ty wiesz, że takiemu porozumieniu zdają się stawać na drodze gigantyczne przeszkody, niemalże szklane góry, które uniemożliwiają porozumienie na fundamencie prawdy i człowieczeństwa. Pozwól nam oraz naszym wspólnotom być takimi, jaką Ty byłeś, takimi, jakimi chciałabyś nas widzieć.

KONTEMPLACJA

Marta i Maria – Łk 10, 38–42

O Maryjo, Matko Jezusa i nasza Matko, razem z Tobą stajemy pod krzyżem Twojego Syna; pragniemy, abyś wprowadziła nas w tajemnicę Jego życia i śmierci – tak abyśmy trwali w Jego sercu; abyśmy trwali przy Nim w zastuchaniu i kontemplacji. Obudź w nas, Maryjo, pragnienie uczestnictwa w cierpieniach Chrystusa oraz cierpieniach świata, które stały się także Twoimi cierpieniami.

Ty widzisz, jak niedoskonałe są nasze słowa i jak dalekie są nasze myśli od tej prawdy, którą Ty żyjesz. Pomóż każdemu z nas, pomóż tym wszystkim, którzy teraz słuchają – wszystkim zgromadzeniom, wspólnotom zakonnym, aby przyłączyły się do naszej modlitwy i do naszej adoracji. Obdarz nas radością wraz z Twym Synem przez łaskę Ducha Świętego, którego wzywamy z mocy Ojca. Amen.

Marta i Maria

Dziś będziemy rozważać bardzo znaną scenę ewangeliczną, opowiedzianą przez św. Łukasza:

„W dalszej ich podróży przyszedł do jednej wsi. Tam pewna niewiasta, imieniem Marta, przyjęła Go do swego domu. Miała ona siostrę imieniem Maria, która siadła u nóg Pana i przysłuchiwała się Jego mowie. Natomiast Marta uwijała się koło rozmaitych posług. Przystąpiła więc do Niego i rzekła: »Panie, czy Ci to obojętne, że moja siostra zostawiła mnie samą przy usługiwaniu? Powiedz jej, żeby mi pomogła«. A Pan jej odpowiedział: »Marto, Marto, troszczysz się i niepokoisz

o wiele, a potrzeba (mało albo) tylko jednego. Maria obrała najlepszą część, której nie będzie pozbawiona» (Łk 10, 38–42).

Przeczytany fragment jest tak bogaty w skojarzenia, obserwacje psychologiczne, ludzkie, religijne, teologiczne, że rozpatrując ukazane w nim postawy moglibyśmy odbyć niemalże całe rekolekcje.

Ograniczę się do refleksji na następujące tematy:

– Kim jest Marta? – Kim jest Maria? – Kim my jesteśmy?

Marta

Domyślamy się, że Marta jest panią domu, ponieważ to jej imię wymienione zostało jako imię osoby, do domu której przyszedł Jezus ze swoimi uczniami. Jest więc odpowiedzialna za cały dom, za jego funkcjonowanie.

Podobne wrażenie, że Marta jest starszą siostrą, odnosimy, czytając scenę wskrzeszenia Łazarza zamieszczoną w Ewangelii św. Jana (11, 1–13).

Dlatego też racje Marty są ważne: jako pani domu ma obowiązek uhonorować gościa i zadbać, żeby niczego nie brakowało. Poza tym gość nie jest sam, jest zatem zrozumiałe, że sytuacja wymaga więcej zabiegów, więcej krzątania. Stąd rodzi się atmosfera lekkiego niepokoju i zatroskania o to, aby wszystko wypadło jak najlepiej i żeby nie zaniedbać podstawowych form grzecznościowych. Marta wysiła się, aby udzielić naprawdę godnej gościny, nie dziwi nas jej obawa, że może się nie udać.

Jednak za tą postawą, która wydaje się naturalna, zauważamy, że w gruncie rzeczy Marta hołduje temu, co moglibyśmy nazwać męskim ideałem prężności, sprawności, władzy; to prawda, że w odniesieniu do prowadzenia domu, ale jednak ideałem sukcesu; musi się udać, wszystko musi być zrobione na miarę wymagań. I wówczas, w pewnej chwili, ów ideał

sukcesu, do którego dąży tak bezwzględnie, którego tak sztywno się trzyma, sprawia, że zatracą istotę sytuacji i właściwe spojrzenie na całość. W swej trosce o to, aby stanąć na wysokości zadania, sprostać sytuacji, gubi całkowicie jej istotę, i widzimy, że następuje zabawne odwrócenie sytuacji, ról: chciała uhonorować Jezusa jako gościa, a tymczasem czyni Mu wyrzuty. Serce Marty przeniknięte było jakże pięknym ideałem żydowskiej, patriarchalnej gościnności (dla Żydów gość był królem, panem, należało mu się pierwsze miejsce). Starając się za wszelką cenę osiągnąć ten ideał, nieświadomie rozkazuje gościowi, jakby był jej podwładnym: *Powiedz jej, żeby mi pomogła!* Widzimy, w co uwikłała się Marta poprzez swoje, zrozumiałe skądinąd, usilne pragnienie sukcesu: odwróciła sens rzeczy, zupełnie nie rozumiała Jezusa. W jej przekonaniu wszystko toczy się tak, jakby Jezus przyszedł jedynie po to, żeby zjeść dobry posiłek, podczas gdy prawdziwe uhonorowanie Jezusa polega na uznaniu Go za Mistrza. W tym przypadku nie był to skutek trwającej długo degradacji duchowej, wystarczyły dwie, trzy godziny i Marta straciła z oczu prawdę, a ideał sukcesu pozbawił ją zdolności właściwego widzenia rzeczy, tej zdolności syntezy, która pozwoliła Maryi uchwycić sedno sytuacji w czasie uczyty weselnej w Kanie.

Łukasz z wielką wnikliwością psychologiczną mówi, że była tak bardzo pochłonięta krzątaniem się koło rozmaitych posług, i dlatego uszło jej uwadze prawdziwe znaczenie całego tego wydarzenia.

Maria

Maria jest młodszą siostrą i logicznie rzecz biorąc, powinna pomóc. Z tego punktu widzenia Marta ma rację: młodszą siostrą powinna pomóc jej w pracy pozostawiając w spokoju Jezusa i apostołów.

Jak tymczasem zachowuje się Maria? ... *Siadła u nóg Pana i przysłuchiwała się Jego mowie.* Ważne jest, abyśmy nie pominęli żadnego szczegółu tego opisu.

U nóg Pana oznacza, że honoruje Go, czci jako Mistrza; daje w ten sposób do zrozumienia, że doskonale pojęła intencję Jezusa: przychodzi On w roli Mistrza i ona przyjmuje Go tak właśnie.

Przysłuchiwała się Jego mowie. Największym pragnieniem Jezusa było przekazywanie słowa. Maria w pełni realizuje ewangeliczne błogosławieństwo: „Błogosławieni ci, którzy słuchają słowa Bożego i zachowują je”. Zrozumiała istotę sytuacji, to, co naprawdę ważne, i wybrała z umiejętnością syntezy, podobnie jak Maryja w Kanie.

Sądzę, że nie bez powodu ta kobieta – w tajemnicy Pisma – nosi imię Maria i że pozostaje osobą zasłuchaną. Jest więc symbolem Maryi, Matki Jezusa, która była cichą słuchaczką Słowa.

W całej przejrzystości odnajdujemy tu cichą tajemnicę Maryi z Nazaretu, o której praktycznie nie mówi się nic, ani o tym, co uczyniła za życia Jezusa, ani o tym, czego dokonała w Kościele pierwotnym. Pozostaje w nas wizerunek Matki Jezusa jako kobiety słuchającej, jako obraz Kościoła i ludzkości zasłuchanych, jako odzwierciedlenie zasadniczej postawy człowieka, którego w jego radykalnym otwarciu się na rzeczywistość nadprzyrodzoną określa się jako „słuchacza Słowa”. Wyraża się w tym cała tajemnica ludzkości, która jest w pełni sobą wtedy, gdy u stóp Jezusa słucha Jego Słowa. Taka zdolność słuchania w ciszy nie stoi w sprzeczności z innymi rzeczywistościami, które przecież stąd czerpią swój sens.

Maria z Betanii jest więc odzwierciedleniem Maryi z Nazaretu, jest zarazem symbolem całego powołania zakonnego kobiety, które niesie w sobie umiejętność milczącego słuchania, aby cała ludzkość rozumiała wielkość własnego powołania i aby również wsłuchała się w Boga.

Każdy z nas winien obrać Maryję za wzór i porównywać, jaką wartość przypisuje ona działaniu, a jaką słuchaniu: nie po to, aby przeciwstawiać te dwie postawy, ale aby je pogodzić wedle miary własnego konkretnego powołania, tak aby słuchanie było zawsze na pierwszym miejscu.

Od medytacji do kontemplacji

Chciałbym zwrócić uwagę na dwa sposoby odczytania tego epizodu w naszym konkretnym życiu. Pierwszy to przejście od medytacji do kontemplacji; przypomnijmy tu wyrzut Jezusa: „Marto, Marto, troszczysz się i niepokoisz o wiele, a potrzeba tylko jednego”.

Zauważmy, że Jezus wypowiada te słowa z miłością: powtarza dwukrotnie imię; podwójnie niejako personalizuje wezwanie.

Nie jest to zarzut w pełnym tego słowa znaczeniu. Jest to jakby obraz w lustrze: kobieta postawiona zostaje jakby przed lustrem: co robisz? Troszczysz się i zabiegasz o wiele!

Jezus po prostu naświetla jej sytuację bez słowa nagany czy komentarza. Słowa Jezusa są pełne znaczenia ewangelicznego, kościelnego, mistycznego.

Możemy wyczytać z tej sytuacji dwa sposoby służenia Jezusowi. Pierwszy z nich można by nazwać *służbą Królestwu*: jest ona dobra i niezbędna. Wszyscy ochrzczeni są wezwani do zaangażowania się i całkowitego poświęcenia sprawie budowania Królestwa Bożego.

Poświęcenie zakonne w sposób szczególny zobowiązuje do tej służby, która z natury rzeczy składa się z licznych konkretnych czynności, dobrych w swej istocie, dopóki pozostają w sferze służby Królestwu. Trzeba nauczać, sprzątać, przygotowywać posiłki, studiować, leczyć chorych, opiekować się młodzieżą, uczyć modlitwy, wysłuchać ludzi, którzy przychodzą się zwierzyć itd.

Poczynając od tych zajęć i w nich samych przejawia się drugi sposób służenia, w którym ogniskują się wszystkie pozostałe: jest to *służenie Królowi*, służenie osobie Jezusa. Rytm rozwoju życia duchowego wyznacza wciąż pogłębiana umiejętność jednoczenia rozmaitych czynności poszczególnej osoby w adoracji i pełnej miłości służbie.

To prawda, że od początku naśladowujemy Jezusa, kochamy Go, ale w powszedniej rzeczywistości na psychologiczne zabarwienie naszego dnia z konieczności składa się wiele spraw; i nie bez pewnego wysiłku, nie bez duchowej dyscypliny oraz specjalnej łaski osiągamy tę jedność, której najważniejszym celem jest służyć Panu, wielbić Go, kochać, wysławiać, a przede wszystkim słuchać.

Właśnie ten drugi poziom liczy się najbardziej, nadaje sens całej reszcie, wykształca i podtrzymuje postawę pogody, pokoju, radości – co jest owocem Ducha Świętego.

Obydwa te poziomy mają swoją wagę we właściwie pojętym ćwiczeniu duchowym, to znaczy w modlitwie: noszą one miano medytacji i kontemplacji.

Medytacja jest ćwiczeniem polegającym na refleksji nad różnymi wartościami danego tekstu Pisma świętego, odczytanego uprzednio w duchu modlitewnym. W jej naturze zawiera się więc wielość rzeczy, myśli, refleksji, tematów, i praktykowanie jej jest absolutnie konieczne.

Jest ona poza tym sama w sobie wielką łaską od Boga, ponieważ rodzi w tych, którzy ją praktykują – za sprawą Ducha Świętego – postawę miłości, prawdy, sprawiedliwości, czystości, przebaczenia, miłosierdzia, radości, cierpliwości, tolerancji, przenikliwości.

Medytacja jest niezbędna do osiągnięcia dojrzałości duchowej, jest więc podstawą życia zakonnego, a także poprzedzającej je formacji. Nie możemy jednak uważać medytacji za cel sam w sobie, gdyż mogłoby nam się przydarzyć to samo, co Marcie. Moglibyśmy się zagubić w wielości, zapominając o konieczności jednoczenia.

To właśnie *kontemplacja* jednoczy różne ćwiczenia medytacyjne. Polega ona na wpatrywaniu się w Pana, w Jezusa, który jest centrum i syntezą wszystkich słów Boga. Na wpatrywaniu się w Niego, upodobaniu w Nim, ubogacaniu się Jego osobą, na zafascynowaniu Nim oraz na szukaniu w Nim oblicza Ojca.

Kontemplacja jest prawdziwym darem od Boga i jest oczywiste, że nie da się jej osiągnąć na siłę. Błędem byłoby zabieganie o nią naszymi własnymi sposobami, bez wcześniejszego podjęcia wysiłku medytacji. Musimy w pokorze przebyć drogę, która rozpoczyna się lekturą świętego tekstu i prowadzi poprzez medytację, stopniowo upraszając ją i otwierając nas na dar Ducha Świętego. Na pewnym etapie tej drogi osiągniemy taki moment duchowy, w którym spojrzenie koncentruje się na Ukrzyżowanym, adorując Go, słuchając i kontemplując.

Nikt z nas nie może sobie wybrać dowolnie tego czy innego etapu drogi. Z pomocą przewodnika duchowego każdy musi rozpoznać punkt, w którym się znajduje. Jedynie w mocy Boga pozostaje władza wprowadzenia duszy w kontemplację, z pominięciem zwykłych pośrednich etapów.

Gdy czytamy żywot św. Teresy od Dzieciątka Jezus, z którego dowiadujemy się o jej trudnościach w medytacji, w wykonywaniu ćwiczeń duchownych, o pustce, jaką w sobie czuła, rozumiemy, że od samego początku posiadała dar prostej modlitwy kontemplacyjnej.

Powtarzam jednak, iż byłoby niebezpieczeństwem dążenie do osiągnięcia stanu kontemplacji z pominięciem lektury Pisma świętego i medytacji; zwłaszcza w przypadku powołania apostołskiego bardzo ważne jest, by obficie karmić się „słowami Boga”, aby móc – kiedy Pan tego zechce – w prawdzie i z pokorą kontemplować to jedyne Słowo obecne we wszystkich „słowach Bożych” i kryjące się za nimi.

Postawy Marty i Marii nie są więc przeciwstawne, uzupełniają się i harmonizują ze sobą. Krzątania Marty pozwala Marii na słuchanie, a słuchanie Marii nadaje sens i jednoczy zabiegi Marty.

Drugie znaczenie tej sceny dla naszego konkretnego życia, na które chciałbym zwrócić uwagę, sugeruje nam trudne do przetłumaczenia słowo: *Natomiast Marta uwijała się koło rozmaitych posług*. W języku greckim to zdanie brzmi: *e de Marta periespato peri pollen diakonian*. Czasownik *peri-espato* znaczy: „napinać się, naprężyć, męczyć się, gorąco pragnąć”. Chodzi tu o kurczowe, dręczące napięcie u kogoś, kto pod wpływem tysiąca obowiązków, z których chce się za wszelką cenę wywiązać jak najlepiej, z zapartym tchem dąży do celu.

To słowo pojawia się tylko w tym jednym miejscu Nowego Testamentu. Jest jednak inna sytuacja, gdzie występuje jego przeciwieństwo: *aperispastos* – bez napięcia, bez nerwów, przeszkody, a więc w pokoju. Chodzi o tekst z Pierwszego listu św. Pawła do Koryntian: „Mówię to dla waszego pożytku, nie zaś, by zastawiać na was pułapkę; po to, byście godnie i z upodobaniem trwali przy Panu” (1 Kor 7, 35).

Wyrażenie „z upodobaniem” brzmi po grecku: *aperispastos* – bez niepokoju. Wskazuje na spójność naszego życia, które jest spokojnie ukierunkowane na Jezusa.

Taką właśnie postawę św. Paweł określa w kategoriach psychologicznych jako rzeczywistość dziewictwa: całe życie ukierunkowane na osobę Chrystusa.

Przez chrześcijańskie dziewictwo, którego wewnętrzna tajemnica przejawia się w postaci Marii z Betanii, rozumiemy całkowite poświęcenie się Panu, trwanie u Jego stóp.

Znów przytoczmy fragment z Pierwszego listu do Koryntian, w którym Apostoł pisze:

„Mówię, bracia, czas jest krótki. Trzeba więc, aby ci, którzy mają żony, tak żyli, jakby byli nieżonaci; a ci, którzy płaczą, tak jakby nie płakali; ci zaś, co się radują, tak jakby się nie radowali; ci, którzy nabywają, jak gdyby nie posiadali; ci, którzy używają tego świata, tak jakby z niego nie korzystali. Przemija bowiem postać tego świata. Chciałbym, żebyście byli wolni od

utrapien. Człowiek bezzenny troszczy się o sprawy Pana, o to, jak by się przypodobać Panu..." (1 Kor 7, 29–32).

Chrześcijańskie dziewictwo nie jest zwykłym celibatem, wyrzeczeniem się małżeństwa. W tym przypadku moglibyśmy określić je jako: „nienależenie do nikogo”, aby służyć wszystkim, być do ich dyspozycji. Chrześcijańskie dziewictwo jest raczej dziewictwem ślubnym, oblubieńczym, jest *należeniem do Pana*.

Pojawia się tu niełatwy problem: czy jest sens mówić o byciu zaślubionym w odniesieniu do dziewictwa i czy nie posługujemy się w takim przypadku językiem wprowadzającym komplikacje antropologiczne i socjologiczne, z których trudno jest wybrnąć? Uważam, że w przypadku tego typu definicji nie powinno się nigdy używać słów bez zastanowienia i konieczne jest dokładne uściślanie ich znaczeń. Co oznacza być zaślubionym, być małżonkiem? By nie definiować tego po prostu w odniesieniu do seksualności i cielesności, ale w odniesieniu do osoby, powiemy, że zaślubienie polega na określaniu siebie w relacji do kogoś, na świadomości siebie w stosunku do kogoś innego. Tak zdefiniowane zaślubienie dotyka głębi tajemnicy osoby, a nawet odzwierciedla tajemnicę Trójcy Przenajświętszej. Ojciec bowiem to Ten, który jest w relacji do Syna; Syn to Ten, który jest w relacji do Ojca; Duch to Ten, który jest w relacji zarówno do Ojca, jak i do Syna.

Tajemnica daru oblubieńczego może się stać nieodłączną częścią tajemnicy człowieka, definiując go, określając, stanowiąc jego horyzont życiowy.

Dziewictwo chrześcijańskie polega na tym, że człowiek pojmuje siebie nie tylko jako istniejącego w sobie i przez siebie, ale w relacji do Chrystusa, na mocy wzajemnego, dobrowolnego aktu. W ten sposób chrześcijańskie dziewictwo przenika do głębi życia osoby, ogarniając ją.

To wszystko nawiązuje między innymi do rzeczywistości historyczno-biblijnej: Jezus dobrowolnie zechciał się określić w relacji do ludu, pragnąc jednocześnie, żeby lud – poprzez

łaskę, wybór i miłość – określił siebie w relacji do swego Boga. Na tym polega tajemnica Przymierza, którego podstawową zasadą jest: „Ja jestem twoim Bogiem, ty jesteś moim ludem”. To tak, jakby powiedzieć: ja jestem twój, ty jesteś mój. Nierzadko Przymierze wyrażane jest w Piśmie przy pomocy symboli oblubieńczych. Weźmy na przykład Pieśń nad Pieśniami, Księgę proroka Ozeasza czy parabole Jezusa na temat Królestwa, które nawiązują do zaślubin.

Nie jest łatwo wyrazić słowami te sprawy: mówiąc o nich zaledwie ich dotykamy, prześlizgujemy się jedynie po powierzchni, i istnieje przy tym ryzyko jakby pozbawienia kwiatu płatków i zapachu.

Kontemplacja, która jest darem od Boga, pozwala nam intuicyjnie poznawać tajemnicę bycia zaślubionym, która określa dziewictwo zakonne; staje się ona również źródłem dyscypliny wewnętrznej, dyscypliny myśli, słów, czynów, sposobem życia i definicją osoby.

Oby Duch oblubieńczy, ten, który przenikając serce i ciało Maryi rodzi Syna, nauczył nas tych rzeczy; Duch, który przenikając tajemnicę naszej osoby prowadzi ją do pełni i płodności życia z Bogiem Przymierza, do duchowych narodzin Chrystusa w sercach i w historii.

DAR BOGA

Homilia na temat: Ez 35, 23–28; Mt 22, 1–14

Fragment z proroka Ezechiela, który usłyszeliśmy, to jeden z najwcześniejszych tekstów Starego Testamentu, w którym czuć tchnienie Ducha Świętego i który stanowi część wielkiego proroctwa, nazywanego „proroctwem o Górach Izraela”. Zaczyna się bowiem od słów: „... prorokuj o górach Izraela i mów: Góry Izraela, słuchajcie słowa Pańskiego”.

W tekście dzisiejszego czytania liturgicznego zwraca uwagę pewna cecha gramatyczna. Wszystkie czasowniki występują w pierwszej osobie: chcę uświęcić... okażę się... zabiorę... zbiorę... dam... chcę tchnąć... (i sprawić)... Jedynie w zakończeniu czasownik nie jest w pierwszej osobie; jest ono bowiem formułą Przymierza, formułą zaślubin: „... będziesz moim ludem, a Ja będę waszym Bogiem”.

Formuła zaślubin nie jest więc wymysłem człowieka, nie powstaje z jego inicjatywy; jest owocem i końcowym etapem długotrwałej inicjatywy Bożej, w której jedynie Bóg działa w pierwszej osobie. Działa na rzecz swojego ludu, posługując się swoją mocą; działa we wnętrzu serc przemieniając od środka poszczególne człowieka i społeczeństwo; działa w obrębie swojej ogólnej wizji historii, wizji praw, które wytyczają drogę ludu, i wprowadza te prawa do serca.

Podstawową prawdą objawioną w Biblii jest ta, że Bóg działa, czyni, sprawia, dokonuje czegoś. Z naszego punktu widzenia moglibyśmy wyrazić ją następująco: mówiliśmy o wielu aspektach życia zakonnego, a jednak nasze doświadczenie duchowe podpowiada nam, że nigdy nie

jesteśmy w stanie ich zrealizować: nie udaje się nam przejść brodu wiary, nie osiągamy wiary ewangelicznej, nie potrafimy przejść od medytacji do kontemplacji, wciąż zabiegamy wokół wielu spraw, a nie wokół Króla. Często, pomimo naszych wysiłków, odnosimy wrażenie, że wracamy do punktu wyjścia, ciągle jesteśmy po tej samej stronie Morza Czerwonego.

Przejście przez bród wiary czy przejście od Królestwa do Króla zaczyna się od pokornego przekonania, że istnieje Bóg, który działa; od przekonania, które z punktu widzenia wiary teologicznej tkwi w nas od samego początku (Bóg stworzył niebo i ziemię, to On jest sprawcą wszystkiego), które jednak nie stało się jeszcze wewnętrznym źródłem życia duchowego. Staje się nim dopiero wówczas, gdy po wielu wysiłkach i próbach, by przebić mur głową, zauważamy, że służenie Królowi jest darem, że darem jest kontemplacja, darem jest dziewicze przyłgnięcie sercem do osoby Jezusa, darem jest także bród wiary i jego przejście.

W tym sensie fragment z proroka Ezechiela nabiera podstawowego znaczenia, stawia nas wobec zasadniczego problemu całej chrześcijańskiej, ewangelicznej ascezy duchowej. Bóg jest zawsze pierwszy; Jego pierwszeństwo jest absolutne i nie można go kwestionować. Nasze działanie i postępowanie jest konieczne, ale pod warunkiem, że wierzymy, iż działa w nas Bóg. Całe nasze działanie i praca również są Jego darem i Jego darem jest rozumienie tego wszystkiego.

Zostaliśmy stworzeni na chwałę Jego chwały, by wysławiać Jego nieograniczone miłosierdzie, ponieważ to On zbawia, On jest tym, który pierwszy ukochał, który zaprasza nas do oblubieńczego związku, pozwalając zrozumieć tajemniczy sens Jego słów. On przeprowadził Świętych drogą poświęcenia, ofiary, dziewictwa; tylko On jest wielki i Jego jednego winiśmy wielbić.

Jesteśmy niczym zaślubieni małżonkowie z Kany, którzy, nieświadomi tego, byli przedmiotem matczynej troski Maryi oraz mocy Chrystusa, choć jej działania w ogóle nie znali;

i właśnie odkrycie tego jest darem, który otwiera nam drogę do świadomości łaski, jaką jest życie wiary. Jesteśmy przedmiotem matczynej troski i skutecznego działania Chrystusa, którego granic nie znamy, a które czyni nas – tak jak małżonków z Kany – znakami zbawienia, ogarniającego cały świat.

Możliwość kontemplowania tej prawdy pozwala nam tak wejść do królestwa rzeczy, o które nieustannie się troszczymy, aby uporządkować je i wyważyć zgodnie z prawdą naszego życia. Wówczas zmieni się nie tyle nasze życie, ale sposób odczytywania go; gdy będziemy mieli oczy otwarte, zrozumiemy, jakiej wielkiej miłości jesteśmy przedmiotem i jakiego powołania depozytariuszami.

Spraw, Maryjo, abyśmy rozpoznali w tajemnicy Eucharystii, która jest darem Bożym, podanym do naszych ust, naszego ciała – jakiej miłości jesteśmy przedmiotem! Pomóż nam zrozumieć, że życie duchowe jest proste. To my je komplikujemy, szukając ideału doskonałości w rzeczywistości cielesnej, która wymaga ciągłego równoważenia.

Życie ludzkie możemy przyrównać do wspinaczki po skalnej ścianie, gdzie cała trudność polega na dokładnym, precyzyjnym wyważeniu poszczególnych ruchów. Kiedy już nauczyliśmy się właściwego rytmu, wspinaczka sprawia nam radość. Jest radością, ale nie beztroską, ponieważ wiadomo, że najmniejszy błąd może nas kosztować utratę życia!

Życie ludzkie jest prostą komplikacją, która rozwiązuje się, gdy przyjmujemy własne istnienie jako dar. Wówczas jedynie Bóg staje się przedmiotem uwielbienia, kontemplacji, miłości; Jemu jednemu służymy, wszystko pozostałe jest harmonią ruchów wspinaczki, w której radość działania pomaga patrzeć ku górze i dążyć do tego, co jedynie niezbędne.

Naucz nas, Maryjo, czynić prostym nasze życie w oblubieńczym związku z jedynym Panem, który ogarnia nas całkowicie, włączając każdą chwilę naszego istnienia w nieopisaną harmonię Królestwa. Chroni nas przez niebezpieczeństwem zgubnego przekonania, iż

możemy uprościć nasze życie, poświęcając się jakiemuś drobnemu, pojedynczemu działaniu, bądź jakiejś idei, która przychodzi nam do głowy. Spraw, abyśmy w Eucharystii przeczuli radość tego związku i tego Królestwa, w którym Bóg będzie wszechobecny we wszystkich; spraw również, abyśmy potrafili za to dziękować Bogu. Amen.

DUCH OFIARY I POŚWIĘCENIA

Slużebnica Pańska – Łk 1, 26–38

Pierwszym odczuciem, jakiego doświadczam wobec przewidzianego na dziś tematu rozważań: Zwiastowania – jest pragnienie milczenia. Tak naprawdę boję się mówić, podobnie jak Mojżesz bał się patrzeć na gorejący krzak. W pierwszej chwili zbliżył się do niego z zaciekawieniem – jak pisze jeden z Ojców Kościoła: *Curiosius desideras introire* – a później zakrył sobie twarz szatą w obawie przed zobaczeniem Boga. Podobne uczucie jest teraz we mnie, ponieważ Zwiastowanie jest niczym gorejący krzew; jest tajemnicą, w której wszystko się zawiera.

Maryjo, Ty mów do nas, abyśmy umieli mówić o Tobie. Przeczuwamy, że tajemnica Zwiastowania związana jest z tajemnicą Krzyża. Jedna wyjaśnia drugą, jedna jest źródłem drugiej. Ty, która pod krzyżem przeżywałaś śmierć Syna i nieskończoną miłość Ojca do człowieka, spraw, abyśmy zrozumieli tajemnicze korzenie tej miłości, abyśmy pojęli Twoje „tak” dla woli Ojca, z którego wszystko wzięło początek, do którego wszystko powraca i w którym wszystko się odnawia.

Slużebnica Pańska

Ponieważ trudno byłoby rozważać w całości fragment opisujący Zwiastowanie, proponuję zatrzymać się na końcowej wypowiedzi: *Na to rzekła Maryja: Oto ja slużebnica Pańska, niech mi się stanie według twego słowa* (Łk 1, 38).

To zdanie wyraża niewątpliwie świadomość pozostawania w relacji. Jeżeli ktoś określa siebie jako sługę, określa tym samym relację, w jakiej pozostaje z kimś innym.

W pierwszej chwili powstaje pytanie: do jakiego stopnia może tu chodzić o stosunek niewolniczy, bowiem w tekście greckim użyte zostało słowo *dule* – „niewolnica”. Jeżeli jednak zastanowimy się nad kontekstem duchowym i biblijnym, z którego się ono wyłania, zrozumiemy, że wskazuje na coś o wiele bardziej delikatnego, czulego, a jednocześnie głębokiego.

Słowa Maryi są odpowiedzią na wyrażenie, które znajdujemy w Księdze Izajasza: „Oto mój Sługa, którego podtrzymuję, Wybrany mój, w którym mam upodobanie” (Iz 42, 1).

Maryja z pewnością była wychowana na lekturze proroka Izajasza i przytoczony tu werset rozbrzmiewa w każdym dźwięku Jej słów. Występuje współbrzmienie z pierwszym zdaniem: „Oto ja służebnica”, oraz z drugim (słowa wypowiedziane przez anioła): „Znalazłaś bowiem łaskę u Boga” (Łk 1, 30). Maryja określa siebie w relacji do Boga, ponieważ to On postanowił wstąpić w relację z Nią: relację wyboru, łaski, pomocy.

Inny piękny asonans: „Sprawiłem, że Duch mój na Nim spoczął” (Iz 42, 16); a anioł do Maryi: „Duch Święty zstąpi na Ciebie” (Łk 1, 35).

Maryja zatem odpowiadając: „Oto ja służebnica Pańska”, postrzega siebie w rzeczywistości łaski, wybrania i powierzenia misji, podobnie jak Sługa Pański. Jej świadomość to świadomość tajemniczego sługi ukochanego przez Boga, wybranego przez Niego, by go napełnić swoim Duchem.

Świadomość misyjna

Nie chodzi tu jedynie o świadomość jednostki, poszczególnej osoby, ale o świadomość całego ludu. Maryja mówi w imieniu swojego ludu, którego jest najlepszą, najdoskonalszą wyrazi-

cielką. Również i to ma swoje odzwierciedlenie w medytacjach Izajasza: „Ty zaś, Izraelu, mój sługo (w tym przypadku sługa jest lud), Jakubie, którego wybrałem sobie, potomstwo Abrahama, mego przyjaciela!... Powołałem cię z jej (ziemi) stron najdalszych i rzekłem ci: Sługą moim jesteś, wybrałem cię... nie lękaj się, bo Ja jestem z tobą” (Iz 41, 8–10).

Anioł do Maryi mówi: „Pan z Tobą”, „Nie bój się, Maryjo” (Łk 1, 28, 30).

Maryja przeżywa swoją świadomość w jedności ze świadomością ludu, który czuje, że jest kochany; wie, że został wybrany, że doświadcza na sobie pomocy Bożej.

U Izajasza znajdujemy jeszcze jedną wypowiedź dotyczącą świadomości ludu: „Albowiem Ja jestem Pan, twój Bóg, Święty Izraela, twój Zbawca... Nie lękaj się, bo cię wykupiłem, wezwałem cię po imieniu... Ponieważ drogi jesteś w moich oczach” (Iz 43, 3. 1. 4). W sercu Maryi jest poświęcenie się, oddanie Bogu, które jest jej własnym oddaniem oraz oddaniem całego ludu Izraela. Maryja jest duszą, głosem, wyrazicielką powołania swojego narodu; dlatego odpowiada Panu jako konkretna osoba, a także jako dziewica Izraela, córka Syjonu.

Za świadomością narodu kryje się wreszcie świadomość całej ludzkości – narodu dla rodzaju ludzkiego: „Ja, Pan, powołałem Cię słusznie, ująłem Cię za rękę i ukształtowałem, ustanowiłem Cię przymierzem dla ludu, światłością dla narodów, abyś otworzył oczy niewidomym, ażebyś z zamknięcia wypuścił jeńców, z więzienia tych, co mieszkają w ciemności”. (Iz 42, 6–7). „Zacny mój Sługa usprawiedliwi wielu... Dlatego w nagrodę przydzielę Mu tłumy” (Iz 53, 11–12).

Maryja żyje według objawienia biblijnego, które aktualizuje się w Niej dzięki słowom wypowiedzianym przez anioła.

Przeżywa potrójną świadomość: świadomość swojej osobistej relacji, poświęcenia się Bogu, świadomość bycia wyrazicielką ludu oraz świadomość odpowiedzialności wobec rodzaju ludzkiego.

Moglibyśmy się zatrzymać w tym punkcie i zapytać samych siebie:

– *Jak pojmuję moje życie?* Czy jest we mnie świadomość tej relacji zależności, która ostatecznie różnicuje ludzkie wybory? Wybór ludzki może być bądź to wyborem słusznej, bezpośredniej zależności od Boga, bądź to wyborem niezależności, niesłużenia, niepodporządkowania się Mu. W tym drugim przypadku życie jest skrzywione, wypaczone i zafałszowane przez szkodliwe imitacje dobra, które deprawują, wypaczają serce, umysł, społeczeństwo.

– *Czy mam świadomość ludu?* Przede wszystkim ludu Maryi i Jezusa, gdyż nie możemy oddzielić naszej tożsamości od tożsamości narodu żydowskiego. W korzeniach każdego chrześcijanina sięgających do Abrahama (w czasie Mszy św. mówimy: „Nasz patriarcha Abraham”) kryje się związek z narodem wybranym, z narodem odkupienia, który jest ludem Maryi i Jezusa. Kościół wciąż na nowo odkrywa siebie, powracając myślą, wspominając i ponownie rozważając swoje związki z tym narodem, związki, które często zakłócano były przez bolesne wydarzenia, kryzysy, a które właśnie dlatego powinny stanowić przedmiot naszej uwagi, naszej czujności, uczucia.

– Wreszcie: *jaka jest moja świadomość w odniesieniu do wszystkich ludów.* Właściwym byłoby określenie: świadomość misyjna. Pomimo że w naszych medytacjach nie użyłem słowa „misyjność”, jest oczywiste, że wszystko, co powiedzieliśmy, ma wydźwięk misyjny.

Kobieta pośród swojego ludu oznacza otwarcie na całą ludzkość widzianą w świetle Chrystusa. Dobrze wiemy, że cała działalność Kościoła ma znaczenie misyjne, pomimo że jej wyraz historyczny i geograficzny wyraźnie uwidacznia się w misji zewnętrznej. Dziś już nie istnieje rozróżnienie – jak to miało miejsce w latach trzydziestych – między Kościołem osiadłym a Kościołem misyjnym, albowiem cały Kościół głosi ludziom zbawienie, a działalność misyjna w większości przypadków

wpisana jest w naturę, kulturę oraz dynamikę życia Kościoła. Powinni na to zwrócić uwagę zarówno ci, którzy prowadzą działalność misyjną, jak i ci, którzy zajmują się pracą duszpasterską, aby obydwie aktywności tworzyły jedność.

Chrześcijańska ofiara

Zastanówmy się teraz nad kluczowym słowem, które jest czymś więcej niż zwykle „tak”, jest radosną, pełną uczucia akceptacją: *Niech mi się stanie według słowa twego*. Forma czasownika wyraża życzenie, wskazuje, że jest to „tak” wypowiedziane całym sercem.

W tym miejscu wypada przypomnieć rozważania św. Pawła na temat ducha wiary, zawarte w pierwszych jedenastu rozdziałach Listu do Rzymian. Używając innych słów wyraża on to, co opisaliśmy wcześniej jako ducha wiary ewangelicznej u grzesznika, którego przywróciła do łaski i usprawiedliwiła miłość Boża. Św. Paweł kończy swój długi wywód, by w rozdziałach 12–15 mówić o *duchu chrześcijańskiej ofiary*, zrodzonym z ducha wiary ewangelicznej i pokutnej:

„A zatem proszę was, bracia, przez miłosierdzie Boże, abyście dali ciała swoje na ofiarę żywą, świętą, Bogu przyjemną, jako wyraz waszej rozumnej służby Bożej” (Rz 12, 1). Podobnie jak w pojęciu „ducha wiary” Apostoł ujął życie wewnętrzne chrześcijanina, jego modlitwę, pokutę, błaganie, tak teraz w „duchu ofiary” zawiera całą moralność chrześcijańską.

W dalszej części cytowanego Listu pisze: „Nie bierzcie więc wzoru z tego świata, lecz przemieniajcie się przez odnawianie umysłu, abyście umieli rozpoznać, jaka jest wola Boża, co jest dobre, co Bogu przyjemne i co doskonałe” (Rz 12, 2). Te dwa wersety są wprowadzeniem do rozpoznawania, czym jest chrześcijańska ofiara. Dlatego uważam, że dobrze będzie, po uwagach o duchu wiary ewangelicznej, zastanowić się nad

duchem ofiary, który w zadziwiający sposób przejawia się w „tak” wypowiedzianym przez Maryję.

Św. Augustyn, uczeń i dociekliwy badacz św. Pawła, definiuje chrześcijańską ofiarę jako: *każdą czynność, działanie prowadzące do osiągnięcia synowskiego związku miłości z Bogiem*; ofiara jest zatem Paschą, wejściem na ziemię Bożą.

W koncepcji św. Augustyna – właściwej dla całej patrystyki – liczy się nie samo działanie, ale cel tego działania. Tak więc również i ofiara jest łaską Ducha Świętego, który wzbudza ducha ofiary w człowieku odkupionym, kierującym się duchem wiary.

Używając innych słów możemy powiedzieć, że ofiara pojęta w sensie przedmiotowym to sam człowiek, który kierując się miłością, przechodzi od poświęcania uwagi wielu sprawom do wyłącznego poświęcenia własnego istnienia Bogu; nadaje tym samym swemu życiu rangę aktu miłości: oto pełny sens znaczenia poświęcenia, na tym polega właściwie pojęta ofiara.

By móc nazwać ją chrześcijańską, trzeba uwzględnić w naszym rozważaniu ofiarę z Kalwarii, w której Chrystus ofiarowuje siebie, aby przez zmartwychwstanie doprowadzić całą Kościół – swoją Oblubienicę – do chwały Ojca.

W Eucharystii ofiara ołtarza odpowiada ofierze Kalwarii, włączając każdego, kto w niej uczestniczy z miłością, w Paschę Jezusa.

Całe nasze życie, rozumiane jako chrześcijańska ofiara, pozostaje więc w związku z Eucharystią, która z kolei pozostaje w relacji z Krzyżem – ofiarą doskonałą, całkowitym oddaniem się Chrystusa – człowieka woli i miłości Ojca, zdolną przyciągnąć do siebie całą ludzkość.

Zasadniczy wybór

W jaki sposób ofiara wchodzi w nasze życie codzienne? Poprzez „właściwe ukierunkowanie serca”, co dawniej nazywano czystą intencją: w niej streszcza się chrześcijańska asceza.

Człowiek, który całe swoje życie skoncentrował na postanowieniu podobania się jedynie Bogu, wchodzi w ofiarę Chrystusa, a tym samym do Królestwa Ojca; uczestniczy on w pełni Boga, włączając w nią całą rzeczywistość, którą uświęca właściwym ukierunkowaniem serca.

Po ofierze Chrystusa „tak” Maryi jest najwyraźniejszym odzwierciedleniem, zapoczątkowaniem, kontynuacją i szczytem doskonałości ludzkiej i chrześcijańskiej.

„Tak” Maryi oznacza ukierunkowanie całego Jej życia wedle woli Boga; z góry zgadza się Ona na wszystkie wybory Chrystusa: od Betlejem aż po Krzyż. Dlatego na początku medytacji powiedziałem, że scena Krzyża zawarta jest już w Zwiastowaniu.

Właściwe ukierunkowanie serca, gdy chodzi o sprawy istotne, określane jest też jako zasadniczy, podstawowy wybór. Wybór ten należy rozumieć jednak w sensie dynamicznym. Nie wystarczy dokonać go tylko raz. Chodzi raczej o żywe dążenie miłości do podobania się Ojcu, o podążanie za tym, co się Jemu podoba, o postawę, która kształtuje całe życie.

Wybór ten, który odnawia się poprzez modlitwę, a szczególnie we Mszy św., jest niczym żywy płomień, który nadaje kształt wszystkim wyborom moralnym, sprawiając, że stają się wyborami chrześcijańskimi.

Ważne jest, by moralność postrzegać jako rzeczywistość dynamiczną, jako dążenie do dobrego, do lepszego, jako całkowite oddanie się zamysłowi Boga, w którym człowiek odnajduje pełnię swojego synostwa, prawdziwą realizację samego siebie.

Zapominanie o dynamicznym charakterze moralności nieuchronnie prowadzi do spłaszczenia, do wątpliwości, do tych wszystkich form moralizowania, które sprowadzają się do pytań, czy słuszne jest i w jakim stopniu zrobienie danej rzeczy. Wszystko to ma niewątpliwie swoją wartość z punktu widzenia logiki, jednak gdy chodzi o życie ludzkie, które samo w sobie jest dążeniem, darem, porywem, bezinteresownością,

okazuje się to deprymujące, zniechęcające, osłabiające aktywność i mało autentyczne. Może doprowadzić do przygnębienia, smutku, opieszałości, do dyskusji, krytyki, sporu. W przypadku wspólnot czy grup staje się sporem o przywileje, unikaniem trudu, po prostu zwykłym legalizmem.

Bez dynamiki podstawowego wyboru traci się właściwe widzenie rzeczy, prawdziwy sens istnienia ludzkiego, które jest żywą wodą nieustannie spływającą z góry, a nie wodą stojącą.

Sądzę, że w wielu przypadkach unikanie spowiedzi, zarówno gdy chodzi o wiernych, jak i duszpasterzy, można by wytłumaczyć osłabieniem dynamiki moralnej. Sakrament pokuty bowiem ma sens i znaczenie o tyle, o ile prowadzi człowieka od złego do dobrego, od dobrego ku lepszemu.

Wszystkie te uwagi sugeruje nam i inspiruje „tak” wypowiedziane przez Maryję. Ten, kto zawarł siebie w podobnym „tak”, szuka ciągle tego, co podoba się Bogu, inaczej mówiąc, w każdej sprawie dokonuje rozpoznania.

W Liście do Rzymian rozpoznanie następuje zaraz po ofierze: „... abyście *dali ciała swoje*... abyście *umieli rozpoznać*, jaka jest wola Boża; co jest dobre, co Bogu przyjemne i co doskonałe” (Rz 12, 1).

Rozpoznanie jest czymś zupełnie innym od drobiazgowego, pedantycznego przewrażliwienia kogoś, kto żyje w płytkości legalizmu bądź z pretensjami do perfekcyjności. Rozpoznanie jest porywem miłości zdolnej rozróżnić między tym co dobre i co lepsze, między tym, co pożyteczne samo w sobie, a tym, co przydatne w danej chwili; między tym, co ogólnie ma szansę udać się, a tym, co należy poprzeć, zainicjować. Rozpoznanie jest podstawą działalności apostoelskiej, w której istnieje konieczność wyboru tego, co lepsze, a nie zadowalanie się czynieniem dobra, dobrym słowem czy byciem dobrym człowiekiem.

Brak zaangażowania w rozpoznanie tego, co lepsze, powoduje często, że życie duszpasterskie staje się monotonne, jednostajne: mnoży się praktyki religijne, powtarza się trady-

cyjne gesty, nie dostrzegając w nich sensu; wykonujemy je bądź to z przyzwyczajenia, by uczynić zadość obyczajom; bądź to dlatego, by okazać się bez zarzutu wobec Boga.

W obecnych czasach młodych ludzi w szczególny sposób pociąga dynamiczne poszukiwanie. Należy wychowywać ich tak, by poszukiwali tego, co lepsze, a nie tylko tego, co dobre.

Podstawowe dążenie do pełnego urzeczywistnienia przyjaźni z Ojcem, w Synu, dzięki łasce Ducha Świętego, znajduje swój konkretny wyraz w ślubach zakonnych, które podobnie jak „tak” Maryi, winny być przeżywane przez nas jako lud dla wszystkich ludów. Winny być przeżywane teraz i „w godzinę naszej śmierci”.

Słowa Maryi: *Niech mi się stanie to, co powiedziałeś*, tłumaczone są także: *według Twego słowa* – po grecku: „kata to rema tu”. To samo wyrażenie powraca w scenie przedstawienia Jezusa w świątyni, również w Ewangelii św. Łukasza, kiedy Symeon mówi: „Teraz, o Władco, pozwól odejść słudze Twemu w pokoju, *według Twojego słowa*” (Łk 2, 29).

W zwyczajowym tłumaczeniu *teraz pozwól* sprawia niemal wrażenie, jakby Symeon o coś prosił. W rzeczywistości czasownik grecki użyty jest w trybie orzekającym, powinien więc być przetłumaczony: „*Teraz uwalniasz mnie od pęt, Panie, według Twego słowa, w szalom*”. Symeon mówi, że Pan pozwolił mu dotknąć szczytu pełni, i rzeczywiście jego kontemplacja Dzieciątka, kontemplacja chwały tego Syna danego wszystkim narodom, dla wszystkich ludzi, jest już zapowiedzią pełni wspólnoty chrześcijańskiej po Zmartwychwstaniu.

Symeon antycypuje, by tak powiedzieć, tę pełnię, którą Maryja dzięki swemu „fiat” nosi w swoim Bożym macierzyństwie. Mówi on: *Twoje słowo, Panie, wypełniło mnie i odtąd pozostaję z Tobą na zawsze; nie ma już dla mnie śmierci ani życia, cała przeszłość była przygotowaniem tej chwili.*

Śmierć jest wypełnieniem się życia, jest „tym bólem rodzenia”, z którego wylania się pełne życie i w którym nasze „tak”, współbrzmiać z „tak” Maryi stojącej pod Krzyżem, łączy się z „tak” Jezusa wypowiedzianym wobec Ojca: „Ojcze, w Twoje ręce powierzam ducha mojego” (Łk 23, 46).

W pewnym sensie umieramy każdego dnia: dla spraw, dla próżności, naszych słabości, dla naszej światowości, dla pragnień, pożądań cielesnych, dla zmysłowości.

Składając duchową ofiarę – zgodnie z zachętą św. Pawła: „Nie bierzcie więc wzoru z tego świata” (Rz 12, 2) – każdego dnia umieramy, a jednocześnie wzrastamy do pełni prawdziwego życia.

Oby Maryja towarzyszyła nam w tej drodze, której punktem szczytowym, pełnią jest śmierć! Wiemy, że trudno jest nam w ten sposób przeżywać śmierć, a nawet, że dla człowieka jest to niemożliwe, ponieważ w każdym z nas tkwi lęk, odraza, przerażenie, nienawiść wobec śmierci i wszystkiego, co ją poprzedza: choroby, nieszczęścia, samotności, ułomności fizycznych. Dlatego prosimy w naszej modlitwie o dar nowych oczu i nowych serc, abyśmy potrafili widzieć „godzinę naszej śmierci” w nowym świetle: od *fiat* Maryi zaczynając, poprzez *Nunc dimittis* Symeona, aż po słowa Jezusa: „Ojcze, w Twoje ręce powierzam ducha mojego” (Łk 23, 46).

RZECZYWISTOŚĆ KRZYŻA

Zgubienie Jezusa w świątyni – Łk 2, 41–52

Prosimy Cię, Maryjo, pomóż nam w rozważaniu tak bolesnego i tajemniczego wydarzenia z Twego życia! Nauczyłaś nas, że aby zrozumieć tajemnicę Twojej obecności pod Krzyżem, musimy rozpisać ją na inne tajemnice Twojego życia. Jedną z zapowiedzi Twojego cierpienia widzimy w dniach, kiedy szukałaś Jezusa w Jerozolimie. Usiłując zgłębić tę tajemnicę, prosimy Cię, abyśmy mogli uczcić ją z miłością i z pokorą. Nie chcemy wkradać się w tajniki Twojej psychiki, pragniemy jedynie, aby Twoja droga oświeciła nas, abyśmy zrozumieli wypowiedziane przez Ciebie słowa, które nam powierzyłaś po to, abyśmy smakowali ich sens. Pozwól nam mieć udział w macierzyńskiej miłości, z jaką Ty przeżywałaś chwile ciemności i cierpienia, w jedności z Synem.

Spraw, aby w naszych usiłowaniach nie było żadnej niedyskrecji czy niedelikatności, lecz aby wszystkie one były chwałą, szacunkiem, poważaniem dla żywej tajemnicy, którą jesteś Ty, oraz dla tej tajemnicy, którą my jesteśmy, Twoje dzieci, pochylające się teraz nad Twoją drogą. Amen.

Zanim rozpoczniemy rozważanie tekstu Ewangelii, chciałbym wam pokazać „Mapę geograficzną rekolekcji” (str. 26); naszkicowałem ją dla łatwiejszego zrozumienia jedności spraw, które w tych dniach przeżywamy.

W centrum mapy widnieje Krzyż, a u stóp Krzyża Jan i Maryja. Od Maryi wychodzą promienie symbolizujące światło, jakim promieniuje Ona na świat i całą ludzkość. „Mapa” dzieli się na dwie części: po prawej „kobieta”, po lewej

„pośród swojego ludu”. Tytuł jest jeszcze raz powtórzony, innymi słowami: po prawej „droga Maryi”, po lewej „z mężczyznami i kobietami wszystkich czasów”. „Mapę” należy czytać rozpoczynając od dołu. Tam znajdują się „Trzy jęki”, które kierują się do góry; wychodzi od nich droga biegnąca z prawej strony na lewą, w formie zakrętu. Po lewej stronie mamy kobiety wszystkich czasów, reprezentowane tu przez postacie kobiet ewangelicznych, o których mówiliśmy. Z prawej strony jest światło Maryi, w którym każda z postaci odbija się – jako pozytyw bądź negatyw. Ostatnia linia biegnie do Magdaleny, przechodząc pod Krzyżem, przez Krzyż, w kierunku Zmartwychwstania.

W środku, nadal idąc od dołu, kilka stopni wyznacza naszą drogę, jaką sugerują nam różne obrazy ewangeliczne.

Scena ewangeliczna pojawiająca się na „Mapie” jako temat naszej dzisiejszej refleksji – to „Zgubienie Jezusa w Świątyni”, opowieść, która jest wyzwaniem dla naszych zdolności interpretacyjnych, poruszając nas dogłębnie.

„Rodzice Jego chodzili co roku do Jerozolimy na święto Paschy. Gdy miał lat dwanaście, udali się tam zwyczajem świątecznym.

Kiedy wracali po skończonych uroczystościach, został Jezus w Jerozolimie, a tego nie zauważyli Jego Rodzice. Przypuszczając, że jest w towarzystwie pątników, uszli dzień drogi i szukali Go wśród krewnych i znajomych. Gdy Go nie znaleźli, wrócili do Jerozolimy, szukając Go.

Dopiero po trzech dniach odnaleźli Go w świątyni, gdzie siedział między nauczycielami, przysłuchiwał się im i zadawał pytania. Wszyscy zaś, którzy Go słuchali, byli zdumieni bystrością Jego umysłu i odpowiedziami. Na ten widok zdziwili się bardzo, a Jego Matka rzekła do Niego: »Synu, czemuś nam to uczynił? Oto ojciec Twój i ja z bólem serca szukaliśmy Ciebie«. Lecz On im odpowiedział: »Czemuście Mnie szukali? Czy nie wiedzieliście, że powinienem być

w tym, co należy do mego Ojca?«. Oni jednak nie zrozumieli tego, co im powiedział.

Potem poszedł z nimi i wrócili do Nazaretu, i był im poddany. A Matka Jego chowała wiernie wszystkie te wspomnienia w swym sercu. Jezus zaś czynił postępy w mądrości, w latach i w łasce u Boga i ludzi" (Łk 2, 41–52).

Tekst

Proponuję *lectio* tego tekstu, z zatrzymywaniem się nad niektórymi słowami, zastanawiając się kolejno nad ich znaczeniem.

Powinniśmy również wziąć pod uwagę niektóre wyniki badań egzegetów. Badacze tacy jak np. Laurentin i Feuillet, którzy poświęcili sporo czasu tej stronie Ewangelii, zgodni są co do tego, że ma ona klimat Janowy, zawiera bowiem pojęcia i wyrażenia o podobnym aspekcie, wydziwisku i głębi, jak słowa i wyrażenia w czwartej Ewangelii.

Ponadto egzegeci twierdzą, że cytowany fragment kryje w sobie podstawowe tajemnice chrystologiczne: ojcostwo i synostwo Boże, śmierć i zmartwychwstanie Jezusa. Jest on antycypowaną medytacją o męce i tajemnicy Chrystusa. Jednocześnie ukazuje trudność, z jaką przychodzi człowiekowi przyjęcie tajemnicy Boga w konkretnej sytuacji historycznej. Maryja, poprzez swoje „tak”, już wcześniej przyjęła tajemnicę Boga wcielonego w historię, przynajmniej w jej ogólnym obwieszczeniu. A jednak z tego fragmentu widzimy, że Maryi, podobnie jak każdemu człowiekowi, trudno jest pogodzić się z tym, że tajemnica Boga, ogólnie przyjęta, różni się od tego, czego oczekiwaliśmy. Podobne trudności odczuwamy i my: trudno nam przyjąć Kościół taki, jaki jest; trudno nam przyjąć, iż Jezus Chrystus objawił się w taki, a nie inny sposób; że tajemnica naszego życia nie spełnia naszych oczekiwań.

Rozważany fragment prowadzi nas aż do granic osobistej tajemnicy Maryi, której nie mieliśmy śmiałości zgłębiać, gdyby

Ona sama nie zachęcała nas do tego, dobrotliwie kładąc swą rękę na naszych głowach, wybacząc nam ewentualne użycie niewłaściwych słów i pomagając wyrazić się naszemu sercu.

Jerozolima i święto Paschy

Chodzili co roku do Jerozolimy. Jerozolima to dla Żydów magiczne słowo. Do dziś jeszcze jest symbolem całej rzeczywistości, istnienia, historii, nadziei. Ewangelista chcąc podkreślić wagę tematu, trzykrotnie wymienia nazwę Jerozolimy: „Chodzili co roku do Jerozolimy... Został Jezus w Jerozolimie... Wrócili do Jerozolimy szukając Go”.

Powinniśmy zatrzymać się nad tym słowem nie tylko ze względu na jego znaczenie jako miejsca centralnego w historii zbawienia, ale także jako jednego z biegunów historii dzieciństwa, a następnie całego życia Jezusa.

Historia *dzieciństwa Jezusa* rozpoczyna się w świątyni w Jerozolimie, z chwilą ukazania się anioła Zachariaszowi. Przenosi się potem do Judei, do domu Zachariasza; następnie do Nazaretu, do domu Maryi, i znów do Judei, kiedy Maryja udaje się do swej kuzynki Elżbiety; później są narodziny Jezusa w Betlejem i znów Jerozolima – celem przedstawienia Jezusa w świątyni. Po nim powrót do Nazaretu i kolejna wyprawa do Jerozolimy, gdzie rozgrywa się rozważane przez nas zdarzenie, kończące dzieciństwo Jezusa.

Podsumowując możemy powiedzieć: historia dzieciństwa Jezusa ma swój początek w Jerozolimie, w Jerozolimie osiąga swój punkt szczytowy – przedstawienie Jezusa w świątyni, i kończy się w Jerozolimie.

Według opisu św. Łukasza ewangelisty (r. 24), w Jerozolimie *kończy się życie ziemskie Jezusa*. W Jerozolimie *rozpoczyna się historia Kościoła* (Dz 1), który rozszerzy się aż po krańce ziemi.

„Święte miasto” jest więc miastem objawienia planu Bożego, miejscem, w którym plan Boży bierze początek, osiąga pełnię

i z którego rozprzestrzenia się. Dlatego pozostaje ono widzialnym przejawem objawienia się chwały Bożej w historii. Tak więc w naszym fragmencie Jezus objawia coś ze swej tajemnicy.

Na święto Paschy – następne słowo bogate w znaczenia. Święto Paschy jest dla Żydów wielkim, głównym świętem (w tym miejscu św. Łukasz po raz pierwszy wymienia Paschę i jest to zapowiedź ostatniej Paschy Jezusa). Można powiedzieć, że życie Jezusa jest niejako wpisane między Paschę przeżyty w dzieciństwie a ostatnią Paschę – Paschę Jego śmierci. Dla pierwotnej wspólnoty, która słuchała opowieści Ewangelisty i przekazywała ją – świadomość, że Jezus obecny był w Jerozolimie na święcie Paschy, równoznaczna była z dostrzeżeniem całej ukrytej mocy, która miała się objawić.

Święto jest tłem dla tego epizodu, i Jezus z pewnością przeżył je w głębokim, intensywnym wzruszeniu, w sposób tajemniczy przeczuwając, iż jest ono zapowiedzią Jego „przejścia” do Ojca, tego przejścia, w którym miały się zawrzeć i wypełnić znaki tej Jego młodzieńczej Paschy.

Kiedy wracali po skończonych uroczystościach, został Jezus w Jerozolimie, a tego nie zauważyli Jego Rodzice.

Czasownik „został” brzmi w języku greckim: *upemeine*, co dosłownie znaczy: „wytrwać, nie ustawać, kontynuować coś, co może być trudne, ale pomimo to ważne”. Stąd wywodzi się rzeczownik „cierpliwość” – *upomone* i rdzeń czasownika *meno* – „przebywać, zamieszkiwać, trwać”. Skłania do refleksji subtelny związek filologiczny z Ewangelią św. Jana. „Trwać” jest czasownikiem charakterystycznym dla Jana; wyraża on trwanie Ojca w Synu, człowieka w Synu, człowieka w Słowie.

W tym, że Jezus został w świątyni, zawiera się „trwanie”: trwa w Jerozolimie, gdyż jest to Jego miejsce, jest z Nim związane, jest Jego naturalnym środowiskiem – później powie nam, dlaczego.

Podkreślony tu już został tajemniczy związek Jezusa ze świątynią, polegający na upodobaniu i trwaniu.

Nieodparty urok, jaki przedstawia dla Jezusa świątynia, kontrastuje z *niezrozumieniem u rodziców*: „a tego nie zauważyli”, w języku greckim: *uk egnosan* – nie poznali, nie wiedzieli tego.

Stoimy wobec wielkiej tajemnicy. To, co przydarzyło się Maryi, nie jest sprawą błahą; zwykle matka wie, co przyciąga jej dzieci, i wie, dokąd mogłyby pójść, gdy wyrwały się spod kontroli, korzystając z nieuwagi rodziców. To prawda, że dwunastoletni chłopiec, szczególnie w kulturze Wschodu, posiadał pewną samodzielność, ale, jak się wydaje, wtedy po raz pierwszy szedł do Jerozolimy i rodzice powinni byli być bardziej uważni.

Można by powiedzieć – a nie przychodzi mi to łatwo – że Józef i Maryja stracili całościową orientację, pozwolili, by umknęło ich uwadze to, co istotne. Pytamy: czyżby nie zrozumieli siły przyciągania, jaką wywierała na Jezusa świątynia? Czy to możliwe, żeby nie pojęli nieodpartego uroku, który jakby przygwoździł Jezusa w świątyni?

W poszukiwaniu Boga

Przypuszczając, że jest w towarzystwie pątników, uszli dzień drogi i szukali Go wśród krewnych i znajomych.

Słowa „przypuszczając, że jest” wydają się podkreślać, iż rodzice zupełnie nie brali pod uwagę możliwości, że Jezus został w Jerozolimie. Niektóre tłumaczenia: „uszli dzień drogi i potem szukali Go” sugerują, że Józef z Maryją spędzili dzień beztrąsko, nie niepokojąc się o dziecko, i dopiero wieczorem zaczęli się zastanawiać, gdzie może być.

Grecki tekst przedstawia zdarzenie trochę inaczej: rodzice spostrzegają, że nie ma Jezusa, zastanawiają się, gdzie może być, ale oczywiście karawana musi iść dalej, szukają Go więc

w trakcie marszu, a kiedy ostatecznie stwierdzają, że dziecka nie ma, zapadł już wieczór.

Z drugiej strony, wydaje nam się dziś dziwne, że Józef i Maryja nie wybrali najprostszych rozwiązań; trudno nam jest sobie wyobrazić, że Jezus mógł odejść tu czy tam, na pogaduszki! O czym świadczy postawa obojga rodziców? Wszystkim nam zdarza się stracić z oczu istotę sytuacji, często bez naszej winy, po prostu o czymś nie pomyśleliśmy, nie potrafimy właściwie ocenić wydarzenia; i przychodzi chwila, kiedy bijemy się w piersi, że coś przeoczyliśmy, coś, czego, logicznie rzecz biorąc, nie powinniśmy byli zaniedbać; byliśmy bardzo zajęci owego dnia i nie poświęciliśmy czasu tej czy innej osobie, podczas gdy należało poświęcić jej nieco uwagi.

Maryja towarzyszy nam w takiej naszej słabości, ponieważ Ona sama przeżyła podobną chwilę zagubienia ogólnego sensu sytuacji.

Skoro Maryja doświadczyła takiej przykrości, upokorzenia, bólu, i my powinniśmy sobie wybaczyć, powinniśmy rozumieć, iż pomimo usiłowań nasza uboga natura nie zawsze potrafi rozpoznać prawdziwą istotę sytuacji. Maryja podaje nam rękę i uczy nas pokory: pokory i znoszenia upokorzeń, jakich możemy doznać od ludzi, którzy krytykują naszą pomyłkę, nasze zbyt słabe wyczucie, nasze roztargnienie, niezwrócenie uwagi na daną osobę w ważnych okolicznościach.

Prawdopodobnie ludzie z karawany krytykowali Maryję: również i Jej się to przydarzyło, nie wszystko musi się układać zawsze dobrze. Tu widzimy Maryję rzeczywiście pośród swojego ludu: żyje, uczestniczy, cierpi, jest krytykowana, czuje się zagubiona, w pewnym sensie obwinia siebie: jak mogłam to zrobić? Jak to możliwe?

Szukali Go wśród krewnych i znajomych. Gdy Go nie znaleźli, wrócili do Jerozolimy, szukając Go. „Szukali Go”, w języku greckim *anezetun* – czasownik niedokonany, oznaczający ciągle, nieustanne poszukiwanie.

Szukając Go – powtarzam ten czasownik i zestawiam go z odpowiedzią Jezusa: *Czemuście Mnie szukali?* Poszukiwanie Jezusa jest poszukiwaniem Boga, cechującym całą drogę człowieka.

Przypomnijmy, że tego samego czasownika użył Jezus w pierwszym pytaniu skierowanym do dwóch uczniów, którzy się do Niego zbliżali: *Czego szukacie?* (J 1, 37).

Poszukiwanie jest symbolem dążenia człowieka do prawdy. W poszukiwaniu Maryi i Józefa zawierają się: uczucie, miłość, niepokój. Są w nim wszystkie wartości, uroki i wibracje szukania.

Dlatego wyrzut Jezusa: *Czemuście Mnie szukali?* brzmi bardzo dziwnie i wprawia w konsternację.

Aby to zrozumieć, powinniśmy chyba pomyśleć o różnych znaczeniach tego czasownika w Ewangelii św. Jana oraz o różnych sposobach szukania Jezusa, zwłaszcza po Jego zmartwychwstaniu, kiedy na przykład Magdalena szuka żyjącego Jezusa wśród umarłych.

Istnieje pewne błędne szukanie Jezusa, które spotyka się z naganą, ponieważ równa się niemal żądaniu, aby Bóg działał po naszej myśli, a nie – zgodnie ze swym planem. W tym kryje się tajemnica szukania, które z natury rzeczy jest podstawowym dążeniem człowieka do prawdy, ale które może spełznąć na niczym, jeśli tej prawdy poszukujemy tam, gdzie jej nie ma, z dala od miejsca, gdzie być powinna, lub jeśli szukamy jej w działaniach, w których nie może się przejawiać.

Maryja, która musiała rozpoznać sens poszukiwania, może nas pouczyć w naszych rozlicznych gorączkowych poszukiwaniach Jezusa, kiedy np. dokładamy starań, by znaleźć łaskę, pocieszenie, przejrzyistość życia, pewność, że jesteśmy na właściwej drodze, rozwiązanie naszych problemów, a przecież wszystkie te rzeczy już posiadamy lub też łatwe są do znalezienia – wystarczy jedna stanowcza decyzja czy otwarcie się na rzeczywistość już objawioną; ponieważ jednak nie chcemy na

to się zdobyć, szukamy dalej pod pretekstem, że potrzeba nam większego światła od Pana.

Innymi słowy, trudno jest człowiekowi przyjąć Boga w konkretnej rzeczywistości; łatwiej jest przyjąć Go jako boską pełnię, transcendencję, jako pojęcie, niż w historii, jeśli nie odpowiada ona naszym oczekiwaniom.

Postuszeństwo Bogu polega na pogodzeniu się z tym, że objawia się nam w postaci ukrzyżowanego, poniżonego Jezusa, w postaci biednego, słabego Kościoła, takiej wspólnoty, tego mojego umysłu, z jego ociężałością, tego mojego ciała, z jego chorobami, tego mojego życia duchowego, z jego trudnościami. Chcielibyśmy znajdować Boga gdzie indziej, i w ten sposób gubimy się w dostrzeganiu rzeczywistej sytuacji historycznej. I dopiero wówczas, kiedy pogodzimy się z faktem, że takie nasze szukanie nie jest prawdziwym poszukiwaniem, lecz jedynie niepokojem, zauważamy, że w istocie już mamy to, czego szukaliśmy.

Dopiero po trzech dniach odnaleźli Go. Znowu podkreśla się, że Maryja i Józef nie zrozumieli, gdzie powinni byli szukać. Być może udali się do rodzin, które ich gościły; w każdym razie nie potrafili od razu zdać sobie sprawy z sytuacji i dlatego trwa nadal, by tak powiedzieć – poprzednie „nie wiedzieli”.

Jezus pozwolił, aby Jego rodzice doświadczyli przykrej sytuacji błędzenia w mrokach, przykrej sytuacji narastającego bólu, jaki odczuwa ktoś, kto szuka Pana, nie znajdując Go. Jezus jednak jest przy człowieku, który przeżywa takie cierpienie i doświadcza tajemniczego milczenia Boga.

Przez trzy dni Maryja i Józef nie słyszeli wcale Jego głosu, głosu, który zwykli słyszeć od rana do wieczora: milknie głos, milknie Słowo. Milczy, gdy tymczasem narzucają się najczarniejsze, najbardziej wstrząsające przypuszczenia, kiedy niepokój jest najbardziej dotkliwy – jest to najpoważniejsza próba wiary.

Nas z pewnością w takiej sytuacji ogarnęłyby myśli, które nie są udziałem Maryi: Bóg mnie opuścił, nie powierzył mi tej misji, której się spodziewałam, a może nie potrafiłam odpowiedzieć na Jego wezwanie i przez to moje życie nie udało się! Dalej nasze myśli płaczą się i ogarnia nas panika. Wszystko to skłania nas do kontemplacji pokornego milczenia Maryi, milczenia, które nie pyta „dlaczego”; podobnie jak nie zapyta u stóp Krzyża. Tajemnicę milczenia Maryi możemy pojąć jedynie w modlitwie. Maryja o nic nie pyta, nie roztrząsa w sobie, nie zatrzymuje się na analizowaniu ewentualnych popełnionych błędów: gdyby tak postąpiła, jej poszukiwanie okazałoby się zupełnie nieskuteczne, podobnie jak w naszym przypadku, gdy pogrążeni w rozmyślaniach nie wkładamy ani odrobiny zaangażowania w działanie. Co najwyżej udaje się nam uszczknąć cokolwiek z naszego snu.

Widzimy tutaj różnicę w postawie Maryi i naszej. Jej postawa dodaje otuchy. Zdaje się Ona mówić: Rób to, co robisz, *age quod agis*, pisz, jeśli masz pisać, odpowiedz na telefon, który dzwoni, przyjmij osobę, która czeka, nie buduj zamków na lodzie, bo to niczemu nie służy. Wierzę, że Maryja udzieli nam cennych wskazówek, w jaki sposób trzymać się działania na bieżąco, w danej chwili, bez zastanawiania się nad przeszłością i bez uciekania w marzenia o przyszłości. Jest to najwłaściwszy sposób, by przeżyć i zaakceptować milczenie Boga.

Wyrażenie *po trzech dniach* oprócz znaczenia psychologicznego, które usiłowaliśmy odczytać, posiada również swój sens teologiczny, czytelny dla pierwszej wspólnoty chrześcijan.

Chodzi tu o trzy dni męki i śmierci. Kościół przeżył tę trwogę męki i śmierci; przeżyli ją także apostołowie. Przeżywa ją nadal Kościół pośród mrocznych i ciemnych dni. I my doświadczamy jej w naszym życiu, zjednoczeni z Wielkim Piątkiem, z męką Jezusa, co wyrażają słowa: „Nadejdą dni, kiedy zgaśnie słońce, ucichnie głos Syna Człowieczego, na ziemi zapanują wielkie ciemności”. Historyczny Wielki Piątek

wciąż się powtarza i będzie się powtarzał dla nas, dla naszej wspólnoty, dla naszego Kościoła; nigdy nie należy pytać, dlaczego, chociaż może nadejść chwila wyjaśnienia. Są dni, kiedy musimy pokornie trwać z ręką przyłożoną do pługa i centymetr po centymetrze robić bruzdy, ponieważ nie potrafimy robić nic innego.

Odnaleźli Go w świątyni. Pojawia się to decydujące słowo, będące kluczem do całego epizodu. W pewnym sensie było ono już obecne w tym opowiadaniu: mówiąc o Jezusie i o święcie nie można było nie pomyśleć o świątyni. Ale pojawia się ono wyraźnie dopiero teraz, aby specjalnie podkreślić, że Bóg dopuszcza próby, pozwala na chwile mroku.

Świątynia pojmowana jest jako miejsce, w którym objawia się obecność Ojca, jako znak panowania Boga, jedyne Pana, Boga, który jest po prostu Bogiem i niczym innym. Świątynia jest znakiem Absolutu, który rządzi całą historią, który dzieli ludzkość i serca ludzkie na te, które przyjmują ten Absolut i wierzą, oraz te, które Go odrzucają, skazując się na potępienie.

Tajemnica Jezusa

Siedział między nauczycielami, przysłuchiwał się im i zadawał pytania. Wszyscy zaś, którzy Go słuchali, byli zdumieni bystrością Jego umysłu i odpowiedziami.

Zawsze dziwnie brzmiał dla mnie ten fragment, gdzie najpierw mówi się, że Jezus „przysłuchiwał się i zadawał pytania”, a następnie stwierdza się, że „byli zdumieni Jego odpowiedziami”.

Co nam objawia ta scena? Jezus jest mądrością, która zdumiewa człowieka; podobne zdumienie boskością odczuwamy w obliczu cudów czy wielkich objawień Boga. Tu Jezus objawia się w świątyni, antycypując to objawienie swej mądrości, o którym opowiada Ewangelista Jan (rozd. 7 i 8).

Nie chodzi tu o mądrość wyuczoną z książek: „W jaki sposób zna On Pisma, skoro się nie uczył?” (J 7, 15), lecz o taką, która pochodzi od Ojca: „Moja nauka nie jest moja, lecz Tego, który mnie posłał” (J 7, 16).

Jezus objawia tu swoją mądrość antycypując w ten sposób swoje życie publiczne, swoje nauczanie, słowo, które pochodzi z góry i zadziwia swoją nowością.

Zastanówmy się, jakież mogły być te pytania, które zadawał Jezus, i jak wyrażała się „bystrość Jego umysłu”? Jak wiemy, rabini roztrząsali problemy zgodnie z kazuistyką; sądzę, że pytania Jezusa przypominały niektóre z tych, jakie zada On później w swoim życiu, a których zaletą jest prostota, jasność, siła burzenia sądów przyjmowanych za oczywiste. Jezus posiada dar *synesis*, dogłębnego przenikania sensu rzeczy.

Zastanawiające jest, że zaczyna od słuchania: przyjmuje zatem postawę skromną, a następnie zadaje pytania uderzające w słabe miejsca zwyczajowych, zastarzałych odpowiedzi. Na tym polega tajemnica zafascynowania Jego późniejszym przepowiadaniem.

W naszej kulturze religijnej, duchowej, teologicznej jesteśmy dziś narażeni na pewne niebezpieczeństwo: istnieje zbyt wiele książek, a coraz mniej myślimy! Co więcej, każda nowa książka powstaje z wykorzystaniem już istniejącej innej, lub dwóch czy trzech innych. Czasami zastanawiam się nawet, czy my biskupi nie piszemy zbyt wielu dokumentów, z którymi potem trzeba się liczyć, które trzeba brać pod uwagę. Nietrudno jest powiedzieć coś nowego, znacznie trudniej mieć na uwadze wszystkie dokumenty poprzednio opublikowane.

Od czasów drugiego Soboru Watykańskiego po dziś powstała taka ilość tomów, że istnieje poważne ryzyko zadławienia się nimi, stłumienia osobistej medytacji, głębokiej refleksji nad Słowem. Nie bez powodu księża skarżą się do mnie, że nie znajdują czasu na czytanie encyklik, adhortacji apostolskich, listów duszpasterskich, dokumentów, etc. Zazwyczaj radzę im, by zatrzymali się nad tym, co najbardziej sprzyja rozwojowi

duchowemu bądź pracy duszpasterskiej. Musimy wyrwać się z niewoli książek, a zamiast tego – patrząc na Jezusa ukrzyżowanego i kontemplując Go – odwołać się do naszego duchowego zrozumienia, wspartego tym wszystkim, co rzeczywiście może nas wspomóc i pobudzić.

Nie zamierzam przez to w najmniejszym stopniu zniechęcać tych, którzy wydają rozmaite materiały pomocnicze, ani też namawiać biskupów, aby zaniechali pisania listów duszpasterskich; pragnę jednak przypomnieć, że Jezus posiadał taki umysł, że przysłuchiwał się i zadawał pytania opierając się przede wszystkim na swojej znajomości Ojca. I to jest najistotniejsze. Jeżeli nie będziemy umieli zacytować wszystkich książek, poświęconych określonemu tematowi, Pan z pewnością oświeci nas, abyśmy mogli wydobyć głęboki sens tego, co mamy powiedzieć.

Na ten widok zdziwili się bardzo, a jego Matka rzekła do Niego: Synu, czemuś nam to uczynił? Oto ojciec Twój i ja z bólem serca szukaliśmy Ciebie.

Nie jest to wyrzut, niemniej słowa te brzmią dość ostro, jakby chciały wyrazić: Nie rozumiemy Cię. Greckie słowo: *odunomeoi*, w przekładzie polskim oddane jako: „z bólem serca”, jest twarde, ostre, odnajdujemy je ponownie u św. Łukasza (16, 27), w opowiadaniu o bogaczu, który krzyczy *cierpię* w płomieniach. Wskazuje ono na stan wewnętrznego cierpienia, które wyniszcza, wyczerpuje. Pojawia się jeszcze to słowo w Dziejach apostoelskich, w sytuacji, kiedy Paweł w Milecie oznajmia starszym Kościoła z Efezu, że wkrótce wyjeżdża do Jerozolimy i że już ich więcej nie zobaczy, dając tym samym wyraz przeczuciu swej śmierci: „Wtedy wszyscy wybuchnęli wielkim płaczem... *smucąc się* najbardziej z tego, co powiedział: że już nigdy go nie zobaczą” (Dz 20, 38). Zasmuceni, przybici, przytłoczeni bólem, ściśnięci w jego okowach.

Odpowiedź Jezusa nie uwzględnia emocjonalnego napięcia obecnego w pytaniu, i w tym tkwi wielka tajemnica. Jezus

mógłby odpowiedzieć: Tak, rozumiem was, przykro mi, jednak musiałem, powinniście byli o tym pomyśleć.

Tymczasem Jego słowa są ostre: *Czemuście Mnie szukali? Czy nie wiedzieliście, że powinienem być w tym, co należy do mego Ojca?*

Według znakomitego egzegety Feuilleta, lepsza byłaby inna wersja. Píše on: „Znalazłszy się w świątyni jerozolimskiej, która jest symbolem niebieskiego domu Ojca, a zatem symbolem prawdziwego mieszkania Syna Bożego, Jezus oznajmnia zaskoczonym Maryi i Józefowi: »Czyż nie wiecie, że trzeba, bym był z moim Ojcem w Jego domu?«. Nie powinno być co do tego wątpliwości; ten fragment był rozumiany w taki właśnie sposób przez wszystkich Ojców greckich bez wyjątku, od Orygenesusa po św. Jana Damasceńskiego, i przez Ojców łacińskich aż po wiek XII... Te tajemnicze słowa Jezusa mają podwójne znaczenie. Jak twierdzi Lagrange, najbardziej oczywiste jest takie oto: »Jezus z uśmiechem odpowiada, iż należało się spodziewać tego, że można Go będzie znaleźć w pobliżu Ojca«. Ale przeczuwamy jeszcze głębsze znaczenie i ukrytą aluzję do powrotu Jezusa do domu Ojca, o którym często wspomina Ewangelia św. Jana. Formuła zaś: »trzeba, muszę« być w tym, co należy do Mego Ojca, jest kluczem do podwójnej tajemnicy, męki i zmartwychwstania, przez którą Jezus powróci do Ojca” (A. Feuillet, *Jésus et sa Mère*, Ed. Gabalda, Paryż 1974, s. 73–74). Te słowa wskazują na tajemnicę ontologiczną Jezusa (jestem z Ojcem, jestem w Ojcu, muszę być w domu Ojca). Wcześniej tego nie mówił, w każdym razie, nawet jeśli zostało to powiedziane w zwiastowaniu anioła Maryi, nic się nie wydarzyło. Tu natomiast wyraża to bardzo dobitnie. Wolelibyśmy, żeby Jezus przygotował swoich rodziców do tego, co się wydarzy w Jerozolimie; wciąż trudno jest nam pogodzić się, zaakceptować sposób, w jaki Jezus – będący wolną wolą i wolną osobowością – postępuje z nami.

Ponadto odpowiedź Jezusa kryje w sobie tajemnicę odkupienia: *trzeba, jest konieczne*; słowo to odnajdujemy pod koniec

Ewangelii św. Łukasza, użyte w odniesieniu do misterium paschalnego: „Czyż Mesjasz nie miał tego cierpieć, aby wejść do swej chwały?” (Łk 24, 26).

Oni jednak nie zrozumieli tego, co powiedział. Wobec tak surowego objawienia tajemnicy i jej skutków Maryja i Józef nie rozumieją, muszą przejść jeszcze daleką drogę. Niemal zdumiewa nas szczerłość zwrotu użytego przez Ewangelistę.

Oni nie zrozumieli – tego zwrotu używa również św. Łukasz, by wyrazić niezrozumienie apostołów, gdy Jezus wyjaśnia im, że Syn Człowieczy będzie musiał cierpieć: „Lecz oni nie zrozumieli tego...” (Łk 9, 45); „Oni jednak nic z tego nie zrozumieli” (Łk 18, 34).

Wskazuje to na naszą trudność, gdy chodzi o rozumienie tajemnicy śmierci i zmartwychwstania Jezusa. Maryja i Józef wcześniej od nas przeżyli coś z tego nierozumienia, choć w sposób jakże pokorny, uległy i otwarty na słowa Jezusa.

Maryjo, jakże często my nie rozumiemy. Spraw, aby pokora i cierpienie towarzyszące Twojemu nierozumieniu były podporą dla nas, których nierozumienie podszyte jest hardością i pychą. Ulecz swoją łagodnością, cierpliwością i wytrwałością, Twoim pokornym milczeniem – bunt, który często towarzyszy naszym rozmyśleniom nad naszym życiem, nad życiem wspólnot, nad życiem Kościoła. Pozwól nam uczestniczyć w Twoim „tak”, które pozostaje niezmiennie także w chwilach najboleśniejszej ciemności, w pełnym cierpienia nierozumieniu, aż po Krzyż i Zmartwychwstanie.

KU ZMARTYWYCHWSTANIU

Magdalena – J 20, 11–18

Przez wstawiennictwo Marii Magdaleny prośmy, abyśmy mogli wejść w ból i radość Maryi, wejść w ten ból i w tę radość w taki sposób, w jaki przejawiają się one w ciele Kościoła i w jego historii.

Maryjo, Matko Boża, módl się za nas, pozwól nam uczestniczyć w Twoim cierpieniu i w Twojej chwale, w Twoim bólu i w Twojej wielkiej radości; spraw, aby nasze serca, także i po tych dniach, nieustannie przeżywały tajemnicę Twojej obecności przy Krzyżu.

W naszych rozważaniach wciąż mieliśmy przed oczyma scenę z Maryją stojącą pod Krzyżem, choć nie poświęciliśmy jej osobnej medytacji. Tę tajemnicę tak pełną miłości i bólu wolę powierzyć osobistej kontemplacji każdej z was.

Wspólnie natomiast zatrzymamy się nad obrazem ewangelicznym objawienia się Zmartwychwstałego Marii Magdalenie.

„Maria Magdalena natomiast stała przed grobem płacząc. A kiedy (tak) płakała, nachyliła się do grobu i ujrzała dwóch aniołów w bieli, siedzących tam, gdzie leżało ciało Jezusa – jednego w miejscu głowy, drugiego w miejscu nóg. I rzekli do niej: »Niewiasto, czemu płaczesz?«. Odpowiedziała im: »Zabrano Pana mego i nie wiem, gdzie Go położono«. Gdy to powiedziała, odwróciła się i ujrzała stojącego Jezusa, ale nie wiedziała, że to Jezus. Rzekł do niej Jezus: »Niewiasto, czemu płaczesz? Kogo szukasz?«. Ona zaś sądząc, że to jest ogrodnik, powiedziała do Niego: »Panie, jeśli ty Go przeniosteś, powiedz

mi, gdzie Go położyłeś, a ja Go wezmę«. Jezus rzekł do niej: »Mario!« A ona obróciwszy się powiedziała do Niego po hebrajsku: *Rabbuni*, to znaczy Nauczycielu! Rzekł do niej Jezus: »Nie zatrzymuj mnie, jeszcze bowiem nie wstąpiłem do Ojca. Natomiast udaj się do moich braci i powiedz im: Wstępuję do Ojca mego i Ojca waszego oraz do Boga mego i Boga waszego«. Poszła Maria Magdalena, oznajmiając uczniom: »Widziałam Pana i to mi powiedział«”.

Maria szuka Jezusa

Ten nadzwyczaj bogaty w aluzje i symbole fragment zaczyna się od słów: *Maria Magdalena natomiast*, to znaczy: w przeciwieństwie do Szymona Piotra i do Jana, którzy zobaczyli pusty grób, zrozumieli, próbowali wyciągnąć z tego wnioski i wrócili w końcu do domu. Maria nie. Zawiera się w tym charakterystyczna cecha postawy kobiety, którą po prostu nazwano Marią. Na początku zostało wymienione jej imię w pełnym brzmieniu: Maria Magdalena. Potem mówi się o niej po prostu: Maria. Nasuwają się skojarzenia z innymi sylwetkami kobiecymi, wylaniają się niektóre aspekty przywołujące na myśl postacie: Marii z Betanii, Marii z Nazaretu.

Stała przed grobem. Znamienne jest tu użycie czasu niedokonanego, co sprawia, że wyobrażamy ją sobie nieruchomą, jakby tkwiła tam, nie mogąc zrobić ani kroku. Z pewnością przygważdża ją silne napięcie emocjonalne. Piotr z Janem weszli do grobu, natomiast ona pozostaje jakby na zewnątrz tajemnicy: to również ma swoje znaczenie.

Stała przed grobem płacząc. Płacz Marii pojawia się w tym fragmencie cztery razy: „stała płacząc”; „a kiedy tak płakała”; „niewiasto, czemu płaczesz?” – pytają aniołowie, i również Jezus powtarza to pytanie. Ewangelista celowo podkreśla ten

czasownik, używając go czterokrotnie, chce bowiem, żebyśmy się nad nim zastanowili.

Przypomnijmy inne sceny z płaczem, o których mówią Ewangelie. Na przykład: płacz wdowy z Naim, płacz Marii nad grobem brata Łazarza, który budzi wzruszenie u Jezusa. W tamtej scenie Jezusowi udawało się zapanować nad wzruszeniem, dopóki nie zobaczył płaczącej Marii, i wtedy sam zapłakał.

Płacz jest tajemniczym sposobem komunikowania się i ogarnia nas wówczas, kiedy nie potrafimy już utrzymać spójności logicznego i emocjonalnego wątku danej rzeczy. Osoba, która tego doświadcza, przekazuje wiele bliskiemu otoczeniu; istnieje nawet prawdziwa sztuka płaczu polegająca na tym, że wzbudzony w odpowiedniej chwili, może wytworzyć także zbiorowe wzruszenie.

Płacz nic nie mówi, a jednocześnie mówi bardzo dużo. Jeśli jesteśmy z kimś, kto nagle zaczyna płakać, to albo ogarnia nas podobne uczucie i wraz z nim płaczemy, albo gdy nasze fale odbioru nie są takie same, różnią się, doznajemy zakłopotania. W każdym przypadku płacz nie pozostawia nas obojętnymi.

Przypomnijmy także płacz Jezusa nad Jerozolimą. W pewnym sensie jest to najbardziej tajemniczy epizod w życiu Jezusa. Jezus płacze, pomimo że nic się nie stało; płacze z powodu gwałtownego wzruszenia wywołanego rozbieżnością między tym, co widzi, co sprawia wrażenie pokoju, zadowolenia, pogodnego życia, a tym, co ma nastąpić. Jest to płacz wynikający z głębokiego poznania, przeniknięcia dramatyzmu spraw i życia.

Rozszerzając zakres naszego rozmyślenia, zwróćmy uwagę na fakt, że element płaczu często towarzyszy zjawiskom religijnym (z których prawdopodobnie wiele jest wymysłem): płacz Maryi – łzy płynące z niektórych figur w ciągu wieków, a także w naszych czasach.

Dlaczego Maria Magdalena płacze? W pewnym sensie sama wyjaśnia aniołom: *Zabrano Pana mego i nie wiem, gdzie Go*

położono. Jej płacz rodzi się więc z tego, co nazwaliśmy poczuciem przynależności, z głębokiego przeświadczenia, że jest się w relacji z drugą osobą, której w pewnej chwili zabrakło. Ta kobieta głęboko doświadczyła nawrócenia: po raz pierwszy w życiu spotkała kogoś, kto ją naprawdę zrozumiał, kto jej w pełni zaufał, kto dał jej świadomość bycia sobą, kto przywrócił jej godność. To wszystko sprawiło, że zrodziło się w niej poczucie przynależności do Chrystusa – związku, który w pewnym sensie określał ją.

Teraz obawia się, że zabraknie jej tego doświadczenia, i czuje, że traci grunt pod nogami. Chwieje się to, na czym zbudowała swoją godność, ustępuje także jej szczerą i bezinteresowną miłość do Jezusa.

Tak więc jej głębokie wzruszenie jest w pełni zrozumiałe. Zauważmy, że w tym przypadku tylko ona płacze; nie wspomina się o tym, żeby również Piotr i Jan płakali, być może dlatego, że w danym momencie ich przeżycie nie miało tej samej siły. Wiadomo natomiast o płaczu Piotra w dniu męki Chrystusa, nastąpił w chwili, kiedy Piotr uświadomił sobie, jak wielka przepaść istnieje między miłością jego Pana a jego własną niegodziwością, nikczemnością.

Płacz Marii Magdaleny, podobnie jak płacz Piotra podczas męki Pańskiej, jest wynikiem odkrycia prawdy, jest więc płaczem zbawiennym, wyraża to, czego nie da się wyrazić słowami. Nie bez powodu wielcy Święci przeżywali taki płacz łaski, a mistyka mówi o płaczu, który jest darem: „darem łez”.

Świętego Karola przedstawia się często, jak płacze przed Ukrzyżowanym. Ignacy z Loyoli niemal każdego dnia odnotowuje w swoim *Dzienniku duchowym*: Łzy, łzy, łzy w czasie Mszy św., łzy podczas dziękczynienia. Są one darem głębokiego wzruszenia religijnego w obliczu poznania prawdy oraz zadziwiających relacji pomiędzy różnymi aspektami tejże prawdy.

W rzeczywistości płacz Marii Magdaleny w tej scenie można by przyrównać do wina w Kanie: jest tym niezbędnym „czymś więcej”, tym, co wskazuje na pełne uczestnictwo emocjonalne.

Naucz nas, Mario Magdaleno, z tak doskonałym zaangażowaniem zagłębić się w tajemnicę Jezusa, Pana mojego, mojego Zbawcy, mojej sprawiedliwości, mojej prawdy, mojej miłości, mojego Oblubieńca, mojego odkupienia, mojego zbawienia, mojego światła, mojego wytchnienia, mojego pokoju.

Św. Ambroży, który w swoich pismach często mówi o swoim płaczu i o płaczu Kościoła, używał często podobnych słów, gdy zwracał się do Chrystusa.

Nachyliła się do grobu i ujrzała dwóch aniołów. Każdy szczegół jest tu oddany bardzo starannie. Najpierw Maria znajduje się na zewnątrz grobu, następnie pochyla się i patrzy. Co oznacza ten gest? Musimy pozwolić, aby te drobiazgowo szczegóły, których kontemplacyjny sens uchwycił św. Jan, przeniknęły do nas w czasie długiej modlitwy.

Kobieta pochyla się do grobu, a więc ma odwagę spojrzeć jeszcze głębiej, przyjrzeć się jeszcze dokładniej tej tajemnicy śmierci, która ją przeraża. Z opowiadania wynika, że Piotr i Jan nie bali się wejść i popatrzeć. Ona jednak nie miała odwagi i dopiero teraz decyduje się na to. Jest to prawdziwe pochYLENIE się w stronę tajemnicy, którą ze wszystkich sił odrzucała, z którą nie chciała się pogodzić: śmierci jej Pana. Teraz natomiast ta tajemnica zaczyna rozjaśniać jej życie, oświecać ją. Nachylenie się do grobu stało się dla niej przejściem brodu wiary: gdyby pozostała skoncentrowana na sobie, jej płacz powoli, stopniowo przekształciłby się w gniew, rozdrażnienie, złość na samą siebie i na innych. Tymczasem ten odważny gest nachylenia się nad ciemnością grobu zaczyna ujawniać jej, że za tą ciemnością jest światło, jest obecność, jest życie.

Kim są dwaj aniołowie? Jedna z pisarek, autorka długiego komentarza do Ewangelii św. Jana, rozpoznaje w nich aniołów, którzy towarzyszyli Jezusowi w Jego ziemskim życiu, a teraz

ukazują się kobiecie, ponieważ miała odwagę spojrzeć w tajemnicę śmierci swojego Pana. W każdym razie aniołowie są pierwszą zapowiedzią, że negatywna interpretacja cierpienia jest błędna, że istnieje w nim zaczątek czegoś pozytywnego, jakiś promyk światła.

Czemu płaczesz? Odpowiedziała im: »Zabrano Pana mego i nie wiem, gdzie Go położono«. Dialog jest krótki i prawdopodobnie nie uspokaja kobiety; ona nawet nie oczekuje odpowiedzi, jest jeszcze poruszona różnymi myślami i światło rozpala się w niej stopniowo.

Jezus objawia się Marii

Gdy to powiedziała, odwróciła się i ujrzała stojącego Jezusa, ale nie wiedziała, że to Jezus. Kochała Go bardzo, szukała Go, ale lęk przed dowiedzeniem się prawdy, pragnienie odnalezienia Jezusa nie pozwalają jej zobaczyć i zrozumieć, że Jezus tutaj już jest.

To bardzo istotny fragment; paralelną scenę, jak mi się wydaje, widzimy w opowiadaniu o uczniach z Emaus. Dopiero wtedy, kiedy uspokoił się duch, uspokoiły się myśli, kiedy można rozpoznać kontekst, kiedy człowiek porzuci zwykłe, sztywne myślenie, że zbawienie może się dokonać tylko w pewien określony sposób – dopiero wtedy spostrzegamy, że zbawienie właśnie się dokonuje. W gruncie rzeczy jest coś humorystycznego w opisie tej kobiety, która ze wszystkich sił pragnie Jezusa, która gotowa jest na wszystko, żeby tylko dostać przynajmniej Jego ciało, a kiedy ma Go przed sobą, nie rozpoznaje Go! Nie wystarczyły pierwsze przebliski, pierwsze promyki światła, które były jej dane, upiera się dalej przy swoim poszukiwaniu.

A co robi Jezus? Powtarza pytanie aniołów: *Niewiasto, czemu płaczesz? Kogo szukasz?* Podobnie jak aniołowie, najpierw pyta

ogólnie o przyczynę płaczu; następnie jednak wydobywa jego osobowy motyw: „Kogo szukasz?”.

Interesująco wypada porównanie pytania, jakie Jezus stawia tutaj, pod koniec Ewangelii, z pytaniem z początku Ewangelii, które skierował do dwóch uczniów: „Czego szukacie?”. Różnica polega na tym, że na początku drogi Jezus zapytał: „Czego szukacie?”, podczas gdy tu, u kresu drogi, Jezus pyta: „Kogo szukasz?”. Jezus podkreśla w ten sposób, że zbawieniem jest osoba i że ta osoba stoi przed kobietą.

Jezus rzekł do niej: Mario! Moglibyśmy wyobrazić sobie, że da się jej rozpoznać w inny sposób: Dlaczego ciągle jeszcze nie wierzysz? Ja zmartwychwstałem! itp. Jezus wybiera jednak bardziej bezpośredni, bardziej osobisty sposób; zwraca się do niej po imieniu. Pozornie nic nie mówi, ponieważ imię „Maria” mógłby wymienić ktokolwiek bądź, i nie świadczy ono o zmartwychwstaniu ani też nie wskazuje, że to Pan zwraca się do niej. Jednak wszyscy rozumiemy – i nie trzeba tego wyjaśniać – że to wezwanie po imieniu, w tej właśnie chwili, w tej określonej sytuacji, takim głosem, takim tonem, jest najbardziej osobistym sposobem objawienia się i nie tylko samego Jezusa, ale Jezusa w relacji do niej. Jezus objawia się jako jej Pan, jako ten, którego szuka. Także wspaniała jest widoczna w tym personalizacja relacji, będąca jednocześnie obrazem całego życia łaski: życie łaski to Pan, który wypowiada w nas, w naszym wnętrzu, nasze imię, który wymawia je z miłością, wymawia je jako Ukrzyżowany i Zmartwychwstały, a więc z całą mocą swojego dzieła odkupienia.

Spraw, Panie, abym nie był głuchy na to imię, które wypowiedasz we mnie! Spraw, abym odczuł całe piękno i moc, które ono przywołuje.

Maria reaguje natychmiast, i to w sposób bardzo osobisty: *Nauczycielu!*, a dokładniej mówiąc: *Mój Nauczycielu*. W jednej chwili wypowiedziane zostaje wszystko, co może powiedzieć o sobie, o swojej miłości, swoim przywiązaniu.

Nie zatrzymuj Mnie. Jezus pomaga jej wspiąć się jeszcze wyżej, gdyż Maria, pomimo wielkiego postępu, jaki zrobiła, nie rozumiała jeszcze dobrze wszystkiego, co się wydarzyło.

Często zdarza się to i w naszym życiu; sądzymy, że już zrozumieliśmy wszystko, a tymczasem przed nami jest jeszcze długa droga do przebycia. Maria Magdalena musi jeszcze zrozumieć, że Chrystus jest związany z Ojcem i że dopiero wraz z Jego całkowitym powrotem do Ojca wypełni się ostatecznie Jego dzieło.

Na chwałę Boga Ojca

Udaj się do moich braci. W tym momencie Maria pojęła, rozumiała i dzięki temu ona pierwsza ogłosi uczniom całościowy zamysł Boga, Boskie ojcostwo oraz braterstwo ludzi z Chrystusem, które jest wynikiem całkowitego wypełnienia tego zamysłu.

Zdawać się nam może, że tych prawd jest za dużo jak na jeden raz. Jezus jednak wie, że Maria Magdalena oraz każda kobieta, która idzie jej śladem, jest zdolna unieść całe bogactwo tej tajemnicy, nawet jeśli nie potrafi do końca jej wyjaśnić metodą egzegetyczną. Może być nosicielką tajemnicy oraz głosicielką Zmartwychwstania Chrystusa.

Wy jesteście tymi niewiastami zmartwychwstania: wy bowiem przeżyłyście podobne spotkanie z Chrystusem i otrzymałyście orędzie radości i pewności, że zamysł Boży niezawodnie się wypełni, że już się wypełnia.

Każda z was powinna świadczyć, że urzeczywistnianie się tego zamysłu w historii – ukierunkowane jest ku pełni Bożej, że orędzie ma swój kres w Ojcu: „Wstępuję do Ojca mego i Ojca waszego, Boga mego i Boga waszego”. Tak więc nasze rozważania kończą się na słowie: OJCIEC.

Wiele mówiliśmy o Maryi z Nazaretu, o kobiecie, jej dzieciach, o ludzkości. Mówiliśmy o Chrystusie. Wszystko to jednak jest odniesione do tajemnicy Ojca, od którego wszystko pochodzi i do którego wszystko wraca. Chwała Ojcu jest ostatnim, decydującym słowem, słowem, które streszcza całą historię zbawienia, ponieważ jako hymn odkupionej ludzkości zawiera wdzięczność wszystkich, z Maryją, w mocy i łasce Ducha Świętego, przez Chrystusa.

Do Boga, miłosiernego Ojca, który jest źródłem i światłem wszelkiego dobra, do Pana historii i wszechświata, który jest celem całego ludzkiego dążenia, wznosimy hymn naszej chwały. Tobie, Ojcze, niech będzie chwała w Kościele i w świecie, w historii i w niebiosach. Bądź uwielbiony od Maryi, Matki Jezusa, od aniołów, tronów i potęg, bądź pochwalony od świętych, od wszystkich naszych zmarłych i wszystkich tych, których spotykamy; obyśmy mogli połączyć się z nimi w jednym hymnie wdzięczności za pełnię chwały, której Twój Syn udziela nam przez łaskę Ducha Świętego ożywiająca nasze serca. Amen.